Patrz Zalane Głowy Wzgórki
A. Majewski

№ pinw. 25.

O WŁASNYCH SKRZYDŁACH.

O własnych skrzydłach.

POWIEŚĆ

PRZEZ

WŁODZIMIERZA ZAGÓRSKIEGO

(Chochlika).

A. Majewski
ALEKSANDER MAJEWSKI
W
KAMIENNEJ MŚCIOWSKIEM
p. Sandomierz
ALEKSANDER MA...
N 25
1891

WARSZAWA.

WŁASNOŚĆ, NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA.

Nowy-Świat Nr. 41.

Дозволено цензурою.
Варшава, 19 Ноября 1891 года.

87664
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
w Kielcach

Niechaj mi wolno będzie przypisać książkę niniejszą tym dzielnym ubogim dziewczętom, które zmuszone były o własnych skrzydłach dobijać się chleba i samodzielności. One to wiedzą najlepiéj na jak ciężkie próby narażona jest młoda i piękna kobieta, szukająca pracy wśród gardłujących o emancypacyi krzykaczów, wśród skorych do podejrzenia i obmowy filistrów, wśród hulaszczych lekkoduchów, wpośród społeczeństwa nie mającego poszanowania dla pracy, niedojrzałego do postępu, a pełnego jeszcze brutalnych instynktów, mniéj lub więcéj utajonych pod powłoką zewnętrznéj ogłady. One też poświadczą czy książka jest tylko zmyśleniem zacofanego czarnowidza, czyli raczéj wiernym obrazem onéj ciernistéj, a zarazem ślizkiéj drogi, na którą wstąpić musi kobieta dobijająca się w naszém społeczeństwie chleba bez pomocy i bez opieki... Szczęśliwa ta, którą głębokie poczucie honoru ochroni od upadku!

Nazwano powieść tę tendencyjną, w czasie gdy je-

szcze wychodziła w odcinkach „Kurjera Warszawskiego". Zaprzeczam temu stanowczo. Rzecz osnuta jest na faktach i „ludzkich dokumentach", badanych z całą ścisłością i przedmiotowością właściwą realistycznéj powieściopisarskiéj metodzie. Malowałem to, co widziałem, patrząc trzeźwo i bez uprzedzeń; tendencya, jeżeli jaka jest, wykluła się sama, jako wynik nie fantazyjnych jakichś kombinacyi, ale prawdy. A nie jest tendencya ta wrogą postępowi rozumnemu, ni pracy kobiet, ni godziwym ich dążeniom do zajęcia odpowiedniego miejsca w społeczeństwie. Nie przeczę, iż nawet Stefcia była by mogła znaléźć powodzenie, gdyby... gdyby była inną; lecz twierdzę, iż taką jak ona, jest większość kobiet, które idąc za modą, lub téż słuchając nawoływania bezmyślnych a wrzawliwych krzykaczów, zrywają się nierozważnie do lotu o własnych skrzydłach bez należytego zapoznania się z tajemnicami rzemiosła, które sobie obrały, bez dostatecznych funduszów na prowadzenie swego procederu, bez doświadczenia — słowem bez warunków zapewniających powodzenie. Te, w walce o byt, muszą uledz koniecznie!

Jeżeli więc powieść moja ochłodzi trochę zbyteczne ich zapały, i skłoni je do trzeźwiejszéj rozwagi — tém lepiéj!... Nie będzie to już książka tylko, lecz dobry uczynek.

Włodzimierz Zagórski.

Passe dich in die Welt hinein,
Denn dein Kopf ist viel zu klein,
Dass die Welt sich passe hinein!
Goethe.

I.

— Panno Stefanio! och, panno Stefanio!—zawołał, osunąwszy się z fotelu na kolana i pochwyciwszy z zapałem jéj rękę.—Panno Stefanio! och, ja dłużej wytrzymać nie mogę! Ja panią ko...

Nie dokończył zaczętego wyrazu. Zmieszana niespodziewanym jego wybuchem, zerwała się z kanapy. Krew jéj uderzyła do głowy, w uszach zaszumiało niby ulewa. Przestraszona, chciała uciekać, ale klęczał przed nią, trzymając ją za rękę i zamykając drogę szerokiemi swemi plecyma. Wtedy bezprzytomna, cała w płomieniach, chwyciła niedopitą szklankę, która stała przed nią na stoliku, i bryznęła mu wodą w same oczy.

Bezwiedny ten wysiłek obezwładnił niebogę. Znękana i bezradna osunęła się niemal bez sił na kana-

pę. A przed nią klęczał on, cały zbryzgany wodą, uparty, niezrażony niczém, rozkochany.

—Panno Stefanio! och... panno Stefanio, ja panią kocham nad życie!

Czuła się nieszczęśliwą nad wszelkie wyrazy. Niestosowność dziwacznego jéj postępku napełniała ją wstydem i rozpaczą. Żal jéj było tego biednego pana Maryana. Taki zacny, taki serdeczny, tak jéj całą duszą oddany: jak mogła tak lekkomyślnie obejść się z jego uczuciem? O, jakżeby rada była cofnąć to, co się już stało! Chwila jeszcze... a byłaby go prosiła o przebaczenie.

Ale pan Maryan nie gniewał sie wcale. Dla niego dziewczę to było czémś doskonałem, wyższą jakąś, nieziemską istotą, któraby nie mogła uczynić nic takiego, coby niebyło dobrém i rozumném. Wybryk panny Stefanii wydawał mu się bardzo przyjemnym i dowcipnym żartem, za który wypadało chyba tylko dziękować.

— Panno Stefanio!—szeptał, wpatrując się w nią z uwielbieniem.—Ja panią kocham!... Ja bez pani żyć nie mogę!

Słowa te otrzeźwiły ją. Wyrwała mu rękę, którą ściskał w dłoni, i spojrzała na niego zdziwioném okiem, jak ktoś, co się ze snu budzi.

Klęczał przed nią uśmiechnięty, wpatrzony w jéj twarz czułemi oczyma, cały oblany wodą, która mu spływała po rumianych policzkach. Wydał jéj się

śmiesznym, niedorzecznym i nikczemnym w téj kornéj postawie. Litość, którą czuła przed chwilą, ustąpiła miejsca niechęci.

— Wstań pan—rzekła szorstko, tonem kobiety, która nie kocha. — Nie lubię, gdy się mężczyzna upokarza.

— Panno Stefanio! och, pannę Stefanio!... Ja oszaleję!—szepnął biedak, niewidząc nawet téj zmiany, jaka zaszła w jéj umyśle.

— Wstań pan — powtórzyła raz jeszcze, marszcząc brew surowo.—Wstań pan, bo się gniewać będę!

Wstał więc, podobny do skarconego dziecka, i usiadł znowu przy niéj na fotelu.

— Przepraszam—jąkał zakłopotany, wyciągając ku niéj dłonie.—Ale to było nad moje siły!... Ja panią kocham nad życie!

— Zrobiłeś mi przykrość wielką—przerwała mu z wyrzutem w głosie.—Skorzystałeś pan z chwili, gdyśmy zostali sam na sam, aby mi mówić o rzeczach, których słuchać nie powinnam... Nie spodziewałam się tego wcale... Zaskoczona tak znienacka... nie wiedziałam sama co robię... Nie miałam wcale zamiaru obrazić pana i chętnie za to przepraszam.

— Ależ to żart, panno Stefanio!—zawołał, uradowany tym niespodziewanym zwrotem.—Ha, ha, ha! ja wiem przecie, że to był żart... Któżby się za ta-

ką drobnostkę gniewał?... Nikt, cóż dopiero ja?... Jabym się miał gniewać na panią?—ja?... Ha, ha, ha! Wszakże powiadam, że kocham panią nad życie!

— Nie mogę i nie powinnam słuchać pana, bo nie możemy należéć do siebie... Pan wiesz, że rodzice moi nic mi dać nie mogą, a ja nie zgodziłabym się nigdy na to, by znaléźć się na czyjéjś łasce.

— Na łasce?... Ależ pani żartuje, panno Stefanio!... Toż chyba dla mnie byłaby łaska... I cóż ztąd, że pani niema posagu?... Ja nic nie potrzebuję, niczego nie wymagam... Bogu dzięki potrafię żonę utrzymać... Będę pracował w dwójnasób... Przysięgam, że pani nie zbraknie na niczém!

Rzuciła się nerwowo na kanapie. Niecierpliwił ją swoim uporem.

— Nie uwierzysz pan, jak mnie to boli, że mnie pan zmuszasz do wyjaśnień — rzekła stanowczo. — Spostrzegłam to już dawno, że mi pan sprzyjasz; nawet i ludzie zwrócili moją uwagę na pańskie starania... Cóż ztąd, kiedy nie możemy należéć do siebie. Czuję, że nie byłabym w stanie odwzajemnić pańskiego uczucia.

— Ależ ja nie wymagam, żeby mnie pani tak kochała, jak ja panią kocham!—odparł z zapałem, nie zrozumiawszy jeszcze jéj myśli.—Ja nawet o tém marzyć nie śmiem, bo to chyba już niemożliwe... Dla mnie wystarczy trochę, troszeczkę, *ot tycio* uczucia — a będę już szczęśliwy!...

Patrzył na nią zachwycony, pożerając ją oczyma.

— Ach, pani! pani!—błagał, wyciągając do niéj ręce.—Niech mi pani nie odbiera téj nadziei!

Było tyle serdecznego ciepła i tkliwości w jego głosie, że nie mogła oprzéć się wzruszeniu. Spojrzała na niego łaskawie, lecz smutnie. Żal jéj się zrobiło tego poczciwca, nie mogącego oswoić się z myślą, iż ta, którą wielbi, nie podziela jego uczucia. Chwilowy gniew ustąpił znowu miejsca litości.

— I cóżby panu z tego przyszło! – odparła tonem, jakim się przemawia do dziecka, które się gwiazdki napiera.—Byłoby nieuczciwie z méj strony łudzić pana... Cenię wysoko pańską prawość i mam dla pana przyjaźń, ale nic więcéj... Sądziłam, że pan to odgadłeś i pojąłeś, bom przecie tego przed panem nigdy nie taiła... Przyznaj pan sam, żem postępowała zawsze z panem uczciwie i nie upoważniłam go niczém do złudnych nadziei.

— Panno Stefanio! ach, panno Stefanio!—biadał, przygnębiony jéj słowami.

— Nie przerywaj pan!... obowiązkiem moim jest otworzyć panu oczy... Nie żądaj odemnie tego, coby dla nas obojga było nieszczęściem... Pan nie wiész jeszcze, że ja nie jestem wcale tak dobrą, jak to sobie wyobrażasz... Najprzód jestem dumną, i jakkolwiek wiem, że pan jesteś zbyt delikatnym, abyś mi mógł wymawiać moje ubóstwo, jednakże myśl, że żyję

z pańskiéj tylko pracy, byłaby dla mnie źródłem wiecznego upokorzenia.

— Ach, pani! pani! — jęczał biedak, nie umiejąc swéj boleści nadać innego wyrazu.

— Uspokój się, panie Maryanie—jęła mu znowu tłómaczyć łagodnie. — Trzeba być roztropnym i nie dawać przewagi uczuciu nad rozsądkiem... Czyż pan niewidzisz, jak wielce się różnimy w usposobieniach i poglądach?... Sądzisz-że pan, że moglibyśmy być szczęśliwi w tych warunkach?... Pan lubisz wieś i gospodarskie zajęcia, których ja nienawidzę, mnie ku sobie pociąga miasto i jego ruchliwe życie— Warszawa, ta kolebka światła i postępu!... Miałaż bym uschnąć z tęsknoty?... Pan sam, jeśli mi sprzyjasz, nie możesz życzyć mi tego losu! — Cóżbym robiła na tym zapadłym Polesiu?

— Panno Stefanio! och, panno Stefanio! — szeptał znękany.

— Tak, tak, panie Maryanie! — ciągnęła daléj dobrotliwie ze smutnym uśmiechem. — Trzeba to sobie wyperswadować... Pan byłbyś nieszczęśliwy z żoną, którąby duszą żyła gdzieindziéj, zbyt zaś jestem szczerą, bym miała to ukrywać... Dla mnie byłoby to życie wieczną męką... Kto wie, czybym się wtedy nie stała złą i niesprawiedliwą?... Kto wie, czy tęskniąc, nie czułabym żalu do pana, czybym się nie uskarżała, że los mnie przykuł do niego? A wtedy co? Wtedy znienawidzilibyśmy się wzajemnie. Czyż

nie lepiéj rozstać się teraz w przyjaźni, zachowując dla siebie w sercu życzliwość i szacunek?

Umilkła, jak gdyby śledząc skutku swéj wymowy. Ale on nie słyszał słów jéj wcale, zdrętwiały boleścią, nie czujący nic, prócz ogromnéj w mózgu próżni, w któréj huczała ta jedna, jedyna myśl, że ona go nie kocha i że mu wypada rozbrat wziąć z nadzieją...

Siedzieli czas jakiś w milczeniu, pośród mroku, który powoli zdawał się występować ze wszystkich kątów i załomów, rosnąc tak, jak fale smutnéj jakiéjś, szaréj powodzi. Cisza była wokoło, tylko gdzieś w przyległym pokoju odzywał się świerszcz domowy, zaczynający nieśmiało swoją wieczorną piosenkę. I nie słychać było nic, prócz tego stłumionego ćwierkania i ciężkiego oddechu pana Maryana, któremu ból zdawał się rozsadzać piersi.

Siedział z pochyloną głową, chmurny, milczący i jak gdyby skamieniały w swéj boleści. Tylko ruch miarowy jego piersi, które wewnętrzną kipiały burzą, i tylko ciężkie łzy, staczające mu się zwolna po policzkach, zdradzały, że w posągu tym nie zamarło życie.

Kiedy niekiedy wzbierało mu serce, jakby nadmiarem żałości, która podnosiła się zwolna, chwytała go za gardło, wgryzała mu się w oczy, szarpała mózg i skronie ściskała żelazną obręczą. Wtedy rzucał się konwulsyjnym ruchem, podobny do

walczącego ze śmiercią topielca; otwierał usta szeroko i chwytał niemi powietrze, jak gdyby chciał w siebie wchłonąć świat cały, by zapełnić nim tę wielką, bezdenną próżnię, która się otworzyła w jego duszy.

Rozdzierający był widok téj ogromnéj bryły mięśni i kości, niemą miotanéj boleścią. Panna Stefania nie mogła oprzeć się rozrzewnieniu. Zdawało się jéj, że każda z łez pana Maryana pada na jéj serce i że z tych łez podnosi się, jak gdyby mgła, która ją na wskróś przenika. Wyciągnęła ku niemu rękę i uścisnęła dłoń jego z współczuciem.

— Panno Stefanio, panno Stefanio, jaka pani dobra!—zawołał nieszczęśliwy, wyciskając na jéj rękę gorące pocałunki.

— Uspokój się pan, panie Maryanie; na miłość boską, uspokój się pan — odparła miękko. — Nie uwierzysz, jak mnie boli widok pańskiego cierpienia!... Trzeba być roztropnym... Kiedyś pan sam uznasz, że tak było najlepiéj... Wierzę w szczerość pańskiego uczucia i pańskiéj boleści... Ale cóż robić?... Trzeba to zostawić czasowi... Czas tę bliznę zagoi.

— Nigdy, nigdy!—zaprzeczył uroczyście.

— Zagoi; z pewnością zagoi — zapewniała dziwnie złamanym głosem. — I pan sam powinieneś się starać o to... Pan musisz się koniecznie ożenić... Życzę panu tego... pragnę tego gorąco!... Tyle jest

panien majętnych, a piękniejszych i lepszych odemnie... Nie trudno panu będzie znaléźć żonę... i szczęście, na jakie zasługujesz... Ach, jakąby to dla mnie było pociechą, gdybym... będąc daleko... dowiedziała się, żeś pan szczęśliwy!

„Daleko!"—to słowo ukąsiło go w serce żądłem gadu. Przypomniał sobie, że mu wspomniała, iż tęskni do Warszawy—do Warszawy, którą mu tylekroć w tak uroczych malowała kolorach. „Niewątpliwie — pomyślał — ciągnie ją tam serdeczne jakieś uczucie". I jakby za poruszeniem sprężyny, zerwał się z fotelu.

Chciał coś mówić, o coś pytać, ale nie mógł z ust dobyć wyrazu. Chwilę jakąś szamotał się tak z sobą znękany i bezradny, wreszcie ujął jéj rękę i złożył na niéj pożegnalny całunek. Potém wziął czapkę leżącą na sąsiednim fotelu, i skierował się chwiejnym krokiem do wyjścia.

— Jakto?—zawołała za nim drżącym głosem. — Nie zostaniesz pan na herbacie?

— Nie mogę — szepnął, łkając. — Dławi mię, dusi... Och, nie mogę!... Niech pani odemnie... pożegna rodziców!

I wyszedł cichutko, aby nie zwrócić uwagi gospodarzy. Niebawem ozwał się na dziedzińcu turkot bryczki, unoszącéj go do domu.

II.

Ciężko się na sercu zrobiło pannie Stefanii po odejściu pana Maryana. Nie wiedziała sama, co się jéj stało, lecz czuła się dziwnie znękaną, samotną, i z siebie niezadowoloną. W uszach jéj tętniło czarodziejskie słowo „kocham", usłyszane po raz pierwszy z ust mężczyzny, a z taką wypowiedziane namiętnością. Przed oczyma stała jéj postać rozkochanego szlachcica, najprzód uśmiechnięta nadzieją, płonąca zachwytem, a potém gwałtowną złamana boleścią.

— Biedny! biedny! — powtarzała wzruszona do głębi, nie mogąc powstrzymać łez, które jéj się cisnęły do oczu.

Zdawało się strapionéj dziewczynie, że smutek, który ją przygnębia, jest tylko wynikiem litości, jaką w niéj zbudziło cierpienie jéj przyjaciela. Wmawiała w siebie, iż postąpiła tak, jak jéj nakazywały prawość i rozsądek. Ale daremnie powtarzała

sobie: „zrobiłam, com zrobić była powinna“; w głębi serca głos jakiś zaprzeczał uporczywie tym zapewnieniom. Nie wiedziała sama, iż, odtrącając miłość pana Maryana, zadała gwałt własnemu, aczkolwiek siebie jeszcze nieświadomemu uczuciu.

I rzeczywiście zaszła w jéj sercu skutkiem doznanych wrażeń wielka zmiana, z któréj sobie nawet sama nie zdawała sprawy. To, co własną uniesiona wymową panu Maryanowi powiedziała, nie wyrażało już teraz dokładnie stanu jéj duszy. Gwałtowny wybuch jego przeszedł nad nią jak burza, i wstrząsnął ją do głębi, budząc drzémiące dotąd uczucie. Powracała ciągle myśl do téj szczeréj a tak wielkiej miłości, któréj ów wybuch był dowodem, a myśl, że jest tak wielce kochaną, napełniała ją jednocześnie szczęściem i żałością.

Cierpiała tedy, nie wiedząc sama, co się jéj stało. Czuła, że jéj brak będzie tych poufnych rozmów, w których mogła wynurzać swe myśli. Zdawało jéj się, że widok téj szczeréj, poczciwéj twarzy, którą widywała zawsze blisko siebie życzliwą i uśmiechniętą, stał się dla niéj potrzebą. Teraz to wszystko stracone, i nie pozostaje jéj nic, coby mogło rozjaśnić to nudne, jednostajne życie, jakie pędzić musi wpośród niechętnego jéj i obcego otoczenia!

I w saméj rzeczy, nie wesołem było życie panny Stefanii w rodzicielskim domu. Przebywając przez lat kilka na pensyi w Warszawie, a potém przepę-

dziwszy trzy lata u stryjecznéj babki w Lublinie, czuła się teraz prawie obcą pomiędzy swoimi. Odwykła od rodziców i oni odwykli od niéj wzajemnie, przywiązawszy się natomiast bardziéj do reszty dzieci, które się wychowywały pod ich okiem. Nie znajdując w rodzicielskim domu owego ciepła, którego pożądało jéj serce, zamknęła się w sobie, jak kwiat pod zimnym wiatru podmuchem, pełna rojeń niezi-szczonych, pełna nudy i tęsknoty.

Przyczyniało się do tego i to, iż wychowana w mieście, czuła się przygnębioną ciszą i jednostajnością wiejskiego życia. Nie pojmowała tych małostkowych trosk i téj mozolnéj pracy, która jéj się wydawała krzątaniem próżniaków. Do gospodarstwa nic jéj nie ciągnęło. Co prawda, nie było tam i na czém gospodarować — wieś była w dzierżawie, rodzeństwa dużo, długów co niemiara, więc téż płynęło tam życie jedném pasmem nudy, trosk i kłopotów. Przytém rodzice starzy i wcale nie zabawni; szczególniéj ojciec, złamany latami i chorobą. Zdawało się, że ją od nich kilka wieków oddziela.

Więc téż ciasno jéj było—jak mawiała—w tym „świecie, zamkniętym granicznemi kopcami rodzinnéj wioski i dzwonnicą parafialnego kościoła",—duszno pośród tych szlachciców, wiecznie nad rolą zgiętych, wiecznie zakłopotanych i nie mogących żadnéj wyższéj myśli zrozumiéć, ni ocenić. Błąkała się znudzona i w sobie zamknięta wśród tego oto-

czenia, rażąc sąsiadów i sąsiadki poglądami swemi i swobodą.

Była to hoża, dwudziestoletnia dziewczyna, o świeżéj cerze i rumianych, czerstwych policzkach. Nie można jéj było nazwać piękną, ale powierzchowność jéj była niezwykłą i pociągającą. Miała wzrost ładny, pełne, okrągłe kształty, zdradzające czerstwość i siłę, a nosek ciekawie zadarty, który zdawał się o coś pytać. Niebieskie oczy jéj patrzyły śmiałem i wesołem spojrzeniem, a sam widok jéj koralowych, nieco grubych i wilgotnych warg, z pośród których białe, zdrowe wybłyskały zęby, upewniał, iż muszą być smaczne w pocałunku.

Śmiałe spojrzenie, zmysłowy rysunek ust i zuchwały kształt zadartego noska, nadawały téj główce jakiś wyraz zawadyacki i wyzywający. Zdawało się, że to chłopiec, przebrany w suknie kobiece, a żywość ostrych nieco ruchów potwierdzała to wrażenie. Jednakże zuchwałość ta była tylko pozorną i nie odpowiadała jéj usposobieniu. W istocie było to niedoświadczone, naiwne, a trochę uparte dziecko, pełne dziewiczych niepokojów i płochliwości.

Przesadnemi wydawały się téż w ustach téj dziewczyny krańcowe poglądy, które zwykła była wygłaszać w kaznodziejskim tonie zarozumiałéj pedantki. Panna Stefania nie była nią wcale. Wczytując się w dzienniki, a z książkami tylko obcując, przejęła się w skutek zwykłéj młodemu wiekowi

wrażliwości, niektóremi ich poglądami, nie licującemi z jéj wiekiem i usposobieniem. Były to jednak tylko przypadkowe naleciałości, a to, co w niéj razić mogło pozorną nieszczerością i przesadą, spowodowane było wyjątkowemi okolicznościami, w których się znajdowała.

Cokolwiekbądź, wygląd jéj niezwyczajny, a bardziéj jeszcze zachowanie i poglądy niechętnie dla niéj usposobiały sąsiadów i sąsiadki. Patrzano na nią, jak na dziwoląga — nazywano ją z przekąsem warszawianką—fantastką, emancypowaną, apostołką. To jéj pochlebiało niezmiernie... Na przekorę szlachciçom, rozprawiała o przeżyciu się starych form, powtarzając zdania—wyczytane w dziennikach—i gromiąc surowo to, co nazywała zacofaniem, przesądem lub niesprawiedliwością. Zdawało się jéj wtedy, że jest rzeczniczką uciśnionych i szermierzem postępu. W istocie nie wiedziała sama, czego chce; burzyła się w niéj jedynie młodość, żądza ruchu i życia, a niezadowolona nigdy z tego, co istnieje.

Jedyną jéj rozrywką i pociechą wśród tej martwoty bywało czytanie dzienników. Upajała się wonią téj zadrukowanéj bibuły, która jéj opowiadała o Warszawie. Ach, Warszawa! To słowo streszczało wszystkie jéj nieokreślone pragnienia. Warszawa była dla niéj pojęciem życia, ruchu, światła, postępu, słowem, wszystkich doskonałości.

Kiedy niekiedy spotykała w dziennikach wieści

o dawniejszych przyjaciółkach, o znajomych z pensyi; czasem powieść lub nowelkę, przetłómaczoną przez koleżankę, czasem doniesienie, że któraś z nich wyjechała na studya za granicę; czasem znów ogłoszenie, zawiadamiające, że ta lub owa założyła jakiś sklep lub otworzyła pracownię. Wtedy paliło się jéj w głowie. Gdyby mogła za ich przykładem dobić się samodzielności! Nie byłaby wówczas lalką tylko, tak jak tyle innych, które się sprzedają mężowi i panu, nie umiejąc sobie własnemi siłami zdobyć uczciwego bytu...

I marzyła, marzyła bez końca, jakby się dostać do Warszawy, do tego życiodawczego słońca, w którego promieniach pracowitość, wytrwałość i odwaga wydać muszą piękne owoce. Nęcił ją tam nieprzepartym urokiem czar, jaki na młode umysły zwykły wywierać wielkie miasta—to ruchliwe, gorączkowe życie, tak odpowiadające porywom jéj młodości, a tak odmienne od jednostajnéj drzemki Polesia. Wola rodziców i brak funduszów przeszkadzały urzeczywistnieniu tego zamiaru; nie wątpiła jednak, że przełamie te zapory. Ach! byle tylko dotrzéć do Warszawy! tam znajdzie chleb, byt samoistny i swobodę, a rękę odda temu, który jej serce zdobędzie!

Na tle tych rojeń rysowała się jéj nieraz postać nieznanego wybrańca. Czasem go widywała inżenierem: osuszał bagna, przekopywał góry, pokonywał ślepe moce przyrody i wydzierał im błogo-

sławieństwo dla stref rozległych; czasem siał jako uczony, pełnemi garściami światło i ciepło dokoła... czasami znów był lekarzem, i niósł ulgę cierpieniom.

Nie wiedziała, czy będzie brunetem czy blondynem; nie miała w téj mierze stanowczego zdania i nie umiała sobie tego nieznanego „jedynego" wyobrazić dokładnie. Wiedziała tylko, że się ich dusze zrozumieją, że ich jedne i te same ożywiać będą pragnienia, i że popłyną razem przez życie, pracując każde w swym zakresie, a podpierając się sercem wzajemnie. I roiła o tém szczęściu dalekiem, roiła bez końca, a rojąc tak, powtarzała z cicha:—„Warszawa! Warszawa"!

Więc chociaż wolném było jéj serce, zajętym jednak był już umysł w chwili, gdy poznała pana Maryana. Był mężczyzną lat blisko trzydziestu, słusznego wzrostu i silnéj budowy; czerstwość i zdrowie malowały się na jego ogorzałem licu. Rysy miał pospolite, ale ożywione wyrazem poczciwéj dobroduszności. W oczach jego malowała się czułość i miękkość prawie kobieca; na pierwszy rzut oka poznać było można, że się ma przed sobą dobrego i zacnego, choć może zbytnią bystrością nie grzeszącego człowieka.

Nie był to więc ideał, o którym marzyła; mimo to wiała od niego jakaś woń szczerości i prostoty, która ją pociągała ku niemu. Był całkiem inny od

tych zaściankowych gapiów, jacy przesunęli się przed jéj oczyma, patrząc na nią, jak na raroga, z miną niby chytrą, a niezdolną nawet dobrze ukryć złośliwéj niechęci. Zbliżył się do niéj z serdecznością i współczuciem, których dotychczas szukała daremnie.

To ją ujęło. Rada była, że znalazła kogoś, przed kim może się otwarcie wynurzyć. Olbrzymi szlachcic robił się maleńkim, gdy przed nim objawiała swe poglądy. Gotów był jéj słuchać od świtu do zmroku, wpatrzony w jéj oczy, na ustach jéj całą duszą wiszący, a niewiedzieć czém bardziéj upojony: czy myślami, które przed nim rozwijała, czy dźwiękiem jéj głosu i wyrazem oczu, ożywionych zapałem.

Ustaliła się téż powoli między niemi pewna serdeczna poufałość, któréj naiwność pana Maryana nadawała tém większego uroku. Niekiedy opowiadała mu świeże wrażenia, jakie jéj pozostawiła książka lub dziennik przeczytany. Przejęta doznaną rozkoszą, rozsnuwała przed nim zaczerpnięte tam poglądy, a on jéj słuchał z ciekawém zajęciem dziecka, żądnego nauki. Niekiedy znowu, dając folgę wrodzonéj żywości, żartowała z nim wesoło, zaprawiając rozmowę dowcipem. Śmieli się wtedy i żartowali swobodnie. I ani na myśl jéj nie przychodziło, że po za życzliwością jéj przyjaciela kryć się może żywsze uczucie.

Niebawem jednak, gdy coraz częściéj począł

przyjeżdżać i coraz dłużéj przeciągać swe odwiedziny, otworzyły się jéj oczy. Kto wie, możeby się była oswoiła z tą myślą, możeby się w sercu jéj wzbudziła wzajemność dla zakochanego szlachcica, gdyby państwo Jarzymowscy—tak się nazywali jéj rodzice—zauważywszy starania pana Maryana, nie byli poczęli ważyć i rozbierać przymiotów konkurenta.

Był to właśnie zięć, o jakim marzyli. Pan Maryan znajdował się w tém szczęśliwém położeniu, że nie potrzebował gonić za posagiem. Zarządzał bowiem dobrami jednego z sąsiednich magnatów na korzystnych bardzo warunkach. Obowiązkiem jego było dać właścicielowi piętnaście tysięcy rubli czystego dochodu, przewyżka stanowiła jego wynagrodzenie. Ugoda ta zapewniała mu znaczne zyski i niezależne prawie stanowisko. W istocie był on raczéj dzierżawcą, niż zawiadowcą majątku, którego właściciel przebywał ciągle w Warszawie lub za granicą.

Niezależność ta, a bardziéj jeszcze przymioty charakteru, czyniły pana Maryana feniksem okolicy. Przybywszy przed kilkoma laty w te strony, umiał sobie odrazu zjednać mir i zachowanie. Po całym powiecie rozniosła się niebawem sława zawołanego gospodarza. Umiejętność jego, pracowitość, zabiegliwość była sławioną, jako wzór godny do naśladowania dla sąsiednich gospodarzy. Wzywano go

na rozjemcę w sporach, zasięgano jego rady w rzeczach, dotyczących gospodarstwa, a nawet żydzi i włościanie polegali na jego zdaniu, widząc w nim roztropnego i sprawiedliwego człowieka.

Ubiegały się też o niego okoliczne szlachcianki, pragnąc usidlić złotopiórego ptaszka w swe sieci, ciągnęli go do swych domów sąsiedzi, starając się zwabić do swych córek. Ale pan Maryan obojętnym był na te pokusy, zwłaszcza od chwili, gdy poznał pannę Stefanię, która rok temu właśnie zamieszkała w Jarzymówce. Zhołdowany jéj wdziękami i przekonany o jéj wyższości, począł coraz częściéj zajeżdżać do jarzymowskiego domu, pragnąc pozyskać serce ukochanéj i zamierzając prosić o jéj rękę.

Miłem okiem patrzyli rodzice panny Stefanii na zabiegi pana Maryana. Ciężyło im w domu to dorosłe dziewczę, nazbyt rozmarzone i skarżące się na wszystko. Było im niemal obcém pojęciami i dążeniami. Wiecznie w sobie zamknięte, wydawało się rodzicom gościem tylko, gościem uciążliwym a niechętnym, bo nie było nici sympatycznéj, któraby ich wzajem łączyła.

Przytém te nieustanne wydatki: to suknia, to okrycie, to kapelusz, to buciki... Dla tych ludzi, walczących z ciągłym niedostatkiem, były to kłopoty nielada. Wydając córkę za mąż, pozbyliby się odrazu ciężaru. Zabiegi pana Maryana otwierały więc

staruszkom widoki urzeczywistnienia pragnień i nadziei.

Rady i uwagi rodziców oburzały dumę szlachetnego dziewczęcia. Nie pojmowała, jak można było miarą materyalnych korzyści oceniać to, o czém, wedle jéj przekonania, stanowić tylko mogło uczucie. „Jakto? miałażby naśladować te, które gotowe są za kawałek chleba sprzedać się mężowi? Miałażby stanąć z niemi w szranki do téj niecnéj gonitwy, zapierając się własnéj godności, oszukując i siebie i tego, z którymby żyć potem musiała do śmierci, skazując się na wiekuiste wyrzuty sumienia? To byłoby nieuczciwością i—szaleństwem!"

Pod wpływem tych myśli, postanowiła panna Stefania bronić serca swego przeciw temu, co zwała niegodną słabością, a namowy rodziców utwierdzały ją tylko w jéj uporze. Niechcąc wywoływać sporu, unikała wszelkiéj z nimi rozmowy o tym przedmiocie i zamknęła się w sobie bardziéj jeszcze, niż dotychczas. Na pozór postępowania swego z panem Maryanem nie zmieniła; pilnowała się jednak, ważąc każde słówko, bacząc na każdy ruch swój, aby rozkochanego konkurenta nie ośmielić zbytecznie.

Udawało się jéj téż znakomicie trzymać na wodzy pana Maryana, ku wielkiemu zdziwieniu rodziców, którzy nie mogli pojąć jego nieśmiałości i wahania. Konkurent przyjeżdżał wesoły i jakby już z powziętém postanowieniem, odjeżdżał zaś rozma-

rzony, onieśmielony i przygnębiony, nie posunąwszy na krok daléj swych zabiegów.

Ojca panny Stefanii poczęły wreszcie niecierpliwić te leniwo wlekące się konkury. Postanowił rozmówić się otwarcie z panem Maryanem. Powstrzymała go jednak pani Jarzymowska, ufając swéj dyplomacyi. Zdaniem jéj należało tę sprawę pozostawić czasowi, gdyż wszelki nacisk mógłby łatwo zrazić konkurenta i, jeżeli nie skłonić go do zerwania, to przynajmniéj uczynić bardziéj wymagającym co do posagu i wyprawy. Zapewniała, iż młodzi ludzie są z sobą na jak najlepszéj stopie i że lada chwila, należało się spodziewać, iż się pan Maryan o rękę Stefci oświadczy.

I rzeczywiście tak się zdawać mogło z pozoru. Nieśmiałość pana Maryana powróciła już pannie Stefanii dawną swobodę. Przekonana, iż wielbiciel jéj zrozumiał, że oprócz życzliwéj przyjaźni na nic więcéj liczyć nie może, czuła się znowu bezpieczną, a rada, że się przed nim wynurzyć może z uczuć swych i myśli bez obawy, iż źle będą zrozumiane, rozmawiała z nim swobodnie i poufale, nie krępując się już niedawną obawą.

Swoboda i poufałość omyliły panią Jarzymowską. Zaufana w swéj przenikliwości, a pewna tego, czego tak gorąco pragnęła, nie wybadywała córki, która, w sobie zamknięta, nie czuła potrzeby wynurzać się przed matką ze swych serdecznych tajemnic.

III.

Tak stały rzeczy w chwili, kiedy się rozpoczęło nasze opowiadanie. Łudząc się pozorami, nie wątpili rodzice panny Stefanii, że się serca młodych już porozumiały z sobą, i że pan Maryan lada chwila przedsięweźmie krok stanowczy, który odwlekał tak długo.

Zdziwił ich też i zaniepokoił wielce nagły i niespodziewany odjazd konkurenta. Usłyszawszy turkot odjeżdżającéj bryczki, wpadli oboje do bawialnego pokoju.

— Co się stało?—zawołał pan Jarzymowski, domyślając się, że pomiędzy młodemi musiało zajść coś nadzwyczajnego.

— Nic—odparła panna Stefania, tłumiąc dławiące ją wzruszenie.

— Jakto nic?... Przecież odjechał!

— Odjechał.

— Jakże?... Bez herbaty?... Bez pożegnania?

— Prosił mnie, bym pożegnała rodziców w jego imieniu.

— Niema sensu, niema sensu!... Czemużby nas sam nie mógł pożegnać?... Czemużeś go niezatrzymała?

— Powiedział, że nie może zostać.

— Musiałaś go chyba rozgniewać?... Musiałaś mu coś powiedzieć nieprzyjemnego?

Panna Stefania milczała.

— No, mówże!... Nie odjechałby przecież tak nagle bez przyczyny?

— Pan Maryan powiedział mi, że mnie kocha— odparło dziewczę, rozdrażnione tém natrętném badaniem.

— A ty?

— A ja — rzekła z dumą — zrobiłam to, co zrobić byłam powinna.

— Cóżeś zrobiła, co? — zawołał stary niecierpliwie

— Powiedziałam mu, że nie mogę i nie powinnam go słuchać bo... nie możemy należéć do siebie.

— Co?... Dlaczego? — wykrzyknęli rodzice.

— Bo nie mam posagu.

— Czy ci mówił co o posagu?

— Nie.

— A więc?

— Uważałam za stosowne objaśnić go... Powiedziałam mu sama, że nie mam posagu.

— I cóż on na to?

Dziewczyna milczała.

— Ach, doprawdy, ta dziewczyna igraszkę z nas sobie robi! — zawołał stary niecierpliwie. — Cóż on na to powiedział, mów!

— Powiedział, że nie szuka posagu...

— A ty?... A ty co odpowiedziałaś?... — pytali społem rodzice.

— Że nie zgodziłabym się nigdy na to, by pozostawać na czyjéjś łasce — odparła drżącym głosem ale stanowczo.

— Na łasce? — ofuknął gniewnie ojciec. — Na łasce... No, moja Zosiu, jak ci się to podoba?... Oszalała dziewczyna, dalibóg oszalała!... Trafia się jéj los... konkurent, który nie wymaga posagu... chłopiec, jak złoto, kawaler, za którym przepadają wszystkie panny, a ta koza fochy stroi!... Waryatka, waryatka!... Cóż ty myślisz, że do ciebie przyjdzie królewicz w złocistéj karecie?

Zaperzony począł chodzić szerokiemi krokami po pokoju.

— Co tu robić, co tu robić?—zapytał nagle, zwracając się do żony. — Może by kazać zaprządz i pojechać go przeprosić?

— Ech, nie! — odparła pani Jarzymowska.—Nie wypada, a popsuć sprawy nie trudno.

— U ciebie zawsze: nie wypada!—mruknął gniewnie stary. — Chciałem z nim gadać przed tygo-

Wyższa Szkoła Pedagogiczna BIBLIOTEKA GŁÓWNA Kielce

dniem, powiedziałaś: nie wypada, sprawa dobrze stoi, wszystko pójdzie jak z płatka...

— Cóż ja temu jestem winna? — odparła staruszka.

— Nie dałaś mi się odezwać z niczém, teraz masz!... Mówiłem ci, żebyś przynajmniéj pilnowała tej waryatki... nie posłuchałaś!

— Rozmawiali z sobą tak poufale... Byłam przekonana, że się już porozumieli... Wyszłam nawet umyślnie aby go ośmielić.

— Ależ: to jéj trzeba było pilnować!... Przecież wiedziałaś, jaka to koza... Teraz wszystko przepadło... Chybaby głupi był, żeby wrócił. Grzybowscy go niedarmo tak wabią do swojéj Wandy.

— Może się to jeszcze naprawi... Gdyby tylko Stefcia miała rozum...

— Gdyby chciała!.. Przecież pokazała, że go nie ma.

— Posłuchaj, Stefciu—rzekła pani Jarzymowska łagodnie — wszak ty nie czujesz wstrętu do pana Maryana?

— Nie, mamo — szepnęła dziewczyna na pół z płaczem.

— Podoba ci się zatem?...

— Czuję dla niego przyjaźń życzliwą, ale nic więcéj.

— A czegóż ty chcesz więcéj?... Czy to nie wystarcza?... Skoro on ciebie kocha, a ty nie masz do

niego wstrętu... Czy myślisz, że ludzie inaczéj żenią się i za mąż wychodzą!... To są właśnie najszczęśliwsze małżeństwa, bo miłość jest tylko chwilowym szałem... Bierze się tego, do którego się nie czuje wstrętu, a którego radzi wziąć rozsądek... Tobie rozsądek radził wziąć pana Maryana, bo wziąwszy go, nie potrzebowałabyś się troskać o chleb powszedni.

— Miałażbym się sprzedać za kawałek chleba! — zawołała dziewczyna z oburzeniem.

— No, patrzże, Zosiu, co to za waryatka!—zawołał stary, załamując ręce rozpaczliwie i zwracając się do żony.—Szczęście jéj samo pcha się do ręki, a ona kaprysi... W głowie jakieś fochy, jakieś romanse, a tu jeść niema co... Zamiast pomyśléć o przyszłości, zamiast się starać o to, by przynieść ulgę, a może i pomoc rodzicom, ona im tylko na ręce patrzy i myśli o niebieskich migdałach.

— Powinnabyś przecie pomyśléć—dodała matka—że nie możesz wiecznie przy nas siedzieć... Żywiliśmy cię, daliśmy ci wychowanie, teraz powinnaś się starać ulżyć nam ciężaru... Wszakże inne dzieci dorastają, i dla nich także mamy obowiązki!

— Ja ustąpię—odparła, płacząc, dziewczyna.

— Powinnaś, moje dziecko, powinnaś... Ale cóż zrobisz teraz, kiedyś odepchnęła od siebie człowieka, który dłoń ku tobie wyciągał?

— Tak, cóż zrobisz teraz?—potwierdził gniewnie

ojciec.—Ja się i tak wydziwić nie mogłem temu Maryanowi, że się w takiéj dzierlatce zadurzył... Chyba się już drugi taki nie znajdzie...

— Będę pracować—rzekła Stefcia dumnie.

— Co?... Gdzie?... Wszakże tu nie ma pola dla ciebie... A i tak nie masz do gospodarstwa żadnéj ochoty.

— Pójdę w świat za chlebem... Pojadę do Warszawy... Wyuczę się jakiego rzemiosła i będę pracować.

— Myślisz, że to tak łatwo?

— Dla tego, który ma silne postanowienie, niema nic trudnego.

— Terefere!... Dziś mężczyźnie trudno chleb znaléźć uczciwy, a cóż dopiero kobiecie!

— Tyle kobiet, pracując o własnych siłach, znalazło już w Warszawie uczciwy kawałek chleba — i ja go znajdę.

— Czémże będziesz: szwaczką? praczką? — zapytał szyderczo.

— Nie wiem jeszcze, jakie sobie obiorę rzemiosło... Zresztą, jakiekolwiek by ono było, wstydzić go się nie będę.

—Ha, ha, ha... szwaczka!... Panna Jarzymowska— szwaczką... Moja córka praczką... ha, ha, ha!... O, to dopiero honor dla naszéj familii... O, to dopiero rekomendacya dla Julci, gdy dorośnie; dla Jasia, gdy

będzie konkurował... Zapytają: gdzie pańska siostra? w Warszawie. Co robi? Pierze bieliznę... Oszalała, dalibóg oszalała! Natośmy łożyli na twoje wychowanie... natośmy cię posyłali do Warszawy na pensyę...

— Na pensyi właśnie nauczono mnie, że żadnéj pracy wstydzić się nie należy... Przecież zaszczytniéj jest być szwaczką, niżeli żyć z czyjéjś pracy, lub sprzedać się za kawałek chleba.

— Ależ, na Boga, Stefciu—zawołała pani Jarzymowska—co ty myślisz?... Czy ty nie wiesz, na jakiebyś się naraziła trudności... Jakżebyś ty sobie tam radę dała w Warszawie sama jedna, bez znajomych, bez pomocy, bez opieki?

— Toż przecie nie będę pierwszą, ani ostatnią!... Tyle moich koleżanek daje sobie radę. Jedna robi kwiaty, druga założyła szwalnię, trzecia sklep... Inne się kształcą w kierunku specyalnym... Założono właśnie w Warszawie szkołę rzemiosł dla kobiet... Bo kobieta niechce już być ciężarem dla męża, nie chce być już niewolnicą... Wszystkie spieszą tam, aby się dobić samodzielności... równouprawnienia!... Dla czegożbym miała zginąć ja jedna w tym ruchu?... Dla czegożby mi miało się nie udać to, co się innym udaje?

Stary Jarzymowski załamał ręce.

— Przewrócili jéj głowę w téj Warszawie— westchnął, kiwając głową.—Waryatka, dalibóg waryatka... Wstydu nam jeszcze narobi, zobaczysz!

— Więc cóż właściwie zamyślasz, Stefciu? — zapytała pani Jarzymowska.

— Mówiłam już mamie przed chwilą... Chcę pojechać do Warszawy, wyuczyć się jakiego rzemiosła i pracować na siebie... Potrzebuję tylko za cały posag, za całą wyprawę dwustu rubli... Wszakże mam u ojca tysiąc złotych, zapisanych mi przez babunię... Dwieście rubli wystarczą mi na zapewnienie sobie przyszłości.

— Co ty wiesz!... Stracisz pieniądze i powrócisz z niczém.

— O, nie, mamo, nie wrócę!... Zdobędę sobie byt i swobodę.

— Co tu gadać z szaloną! — zawołał ojciec. — Widzi nasz niedostatek, widzi ciągłe kłopoty, ale czy to ją obchodzi?... Bynajmniéj!... Szczęście nasze, spokój nasz poświęci dla swego kaprysu... Inne dobre dziecko byłoby, w jéj położeniu, przyjęło wstrętnego nawet konkurenta, byle rodzicom ulżyć ciężaru... Jéj się trafił los szczęśliwy, o jakim nawet marzyć nie mogła, a ona kaprysi... Doprawdy, rozpacz ogarnia!...

I zrzędzili tak daléj oboje, wymawiając jéj wydatki, jakie dla niéj ponieśli, i ten biedny kawałek chleba, który jadła z ich łaski, i te skrupuły, które ją dręczyły. Nie rozumieli jéj obaw i wstrętów, nie pojmowali walki, która się w jéj sercu toczyła.

Nielitościwe ich wymówki i szorstkie nagany nie trafiały jednak do serca strapionéj dziewczyny, lecz owszem, umacniały ją w postanowieniu. Wątpliwości, które na widok boleści pana Maryana powstały w jéj umyśle, wydawały jéj się teraz niegodną słabością. Im bardziéj się rodzice wysilali, pragnąc ją przekonać, iż małżeństwo jest tylko interesem, w który się wchodzi dla zabezpieczenia sobie kawałka chleba, tembardziéj oburzała się jéj duma i prawość przeciw takiéj uczuć frymarce.

Broniąc się przeciw natarczywości tych wyrzutów, unosiła się własną wymową. Upajała ją ta walka, którą toczyć była zmuszona w obronie swych przekonań. Małżeństwo, narzucane jéj w ten sposób przez rodziców, budziło w niéj wstręt i obrzydzenie, a wstręt ten przenosił się i na osobę pana Maryana. Zdawało się jéj teraz, że musiałaby go znienawidzieć, gdyby, ulegając rodzicom, oddała mu swą rękę. Coraz też silniejszém stawało się jéj przekonanie, że, odbierając mu wszelką nadzieję, postąpiła nietylko uczciwie, ale i roztropnie.

Stało się. Czuła, że ta przepaść, która ją od rodziców rozdzielała, rozszerzyła się bardziéj jeszcze, i była przekonaną, że już jéj nic zapełnić nie zdoła. Przerażała ją obawa przed temi cierpkiemi wymówkami, których jéj teraz niewątpliwie oszczędzać nie będą ojciec i matka. Dalszy pobyt w rodzicielskim domu wydawał jéj się męką, a dążenie do tego ce-

lu, o którym niegdyś marzyła, jako o pięknym, ale dalekim i trudnym do osiągnięcia ideale, stawało się dla niéj teraz — koniecznością.

Wypadki ułatwiły jéj pokonanie oporu rodziców. Nazajutrz po zajściu, które zamąciło spokój w jarzymowskim dworku, nadszedł list od pana Maryana. Telegram, donoszący o nagłéj słabości jego matki, powoływał go do Kijowa. Pismo, w którém państwa Jarzymowskich zawiadomił o swojém zmartwieniu, nie rzucało światła na dalsze jego zamiary.

Konkurent ubolewał, że śpiesząc tam, gdzie go wzywa obowiązek, i wyjeżdżając może na czas dłuższy, nie może osobiście pożegnać mieszkańców Jarzymówki. Trudno było z tego wywnioskować, jakie nim powodowało uczucie. Mimo to dopatrzyli się Jarzymowscy w tém dowodu, iż pan Maryan, zrażony obojętnością Stefci, postanowił jéj unikać i że obecnie, gdy go czas i przestrzeń od niéj rozdzielają, pożegnać się należy z nadzieją nawiązania zerwanego stosunku.

Niepodobna było już teraz sprzeciwiać się woli dziewczęcia, zwłaszcza po tylu cierpkich wymówkach, że na karku siedzi rodzicom, i nie myśli wcale o swéj przyszłości. Nie było nadziei, aby się tak prędko zjawił nowy konkurent; upatrzony zaś odjeżdżał z rekuzą, zrażony obojętnością dziewczęcia, kto wie, może zagniewany, nie pozostawiając wiado-

mości, kiedy powróci i czy wogóle powróci. A zresztą, chociażby nawet powrócił, cóż z tego? Staruszkowie przyszli do przekonania, że nie zdołają przełamać uporu córki, i że jéj nigdy nie skłonią do wyjścia za pana Maryana.

Mimo to, gdy przed nimi stanęła konieczność powzięcia jakiejś stanowczéj decyzyi, i gdy ujrzeli, że losu Stefci w inny sposób zabezpieczyć nie są w stanie, przerażała ich myśl wypuszczenia tego biednego, niedoświadczonego dziecka w świat daleki na nieznane i nieprzewidziane przygody. Gdyby to przynajmniéj był chłopiec, to możnaby jeszcze jaką taką żywić nadzieję, że w walce z losem nie ulegnie i przyszłość sobie zdobędzie—ale kobieta, ale dziewczyna, była, zdaniem ich, z góry już skazaną na niepowodzenie, na nędzę—kto wie, może na ostateczną zgubę...

Opierali się tedy zamiarom Stefci, wahali się, przedstawiając jéj trudności, na jakie dobrowolnie pragnie się narazić. Ale dziewczyna nie przestawała nalegać, zapaliwszy się do swego zamiaru i uwierzywszy święcie w jego powodzenie. Listy przyjaciółek, mieszkających w Warszawie, z któremi w sprawie téj korespondowała, dodawały jéj otuchy.

Z siłą, jaką daje wiara, rozwijała swoje plany przed ojcem i matką, a staruszkowie nie mogli jéj

teraz poważnych przeciwstawić argumentów. Pokonani wymową córki, zezwolili wreszcie na wyjazd jéj z Jarzymówki, i ze stoma ośmdziesięcioma rublami w kieszeni wyjechała panna Stefania do Warszawy.

IV.

Było w Jarzymówce płaczu co niemiara w dzień wyjazdu panny Stefanii. Państwo Jarzymowscy, dzieci ich, słudzy nawet, zalewali się rzewnemi łzami na widok tego młodego dziewczęcia, opuszczającego rodzinne progi i udającego się w świat daleki, by tam w obcéj stronie i wśród nieznanych ludzi szukać zarobku.

Ulegając córce, przychylili się staruszkowie do jéj zamiaru; uczynili to jednak niechętnie, z bólem i obawą, niezadowoleni z siebie, zawstydzeni własną bezsilnością, zrozpaczeni, iż nie mogą zabezpieczyć losu dziewczęcia wedle swych pragnień.

Zdaniem ich to, co przedsięwzięła uczynić Stefcia, było ogromnym upadkiem. Myśl, iż córka ich zmuszoną będzie szukać chleba w rzemieślniczym zawodzie, upokarzała ich szlachecką dumę. Żadna Jarzymowska nie poniżyła się jeszcze dotąd do tego stopnia. Wszystkie gospodarowały zaszczytnie na wła-

snéj glebie, wychowując liczne potomstwo na chwałę bożą i pociechę ojczyzny. Jeżeli którą z nich ominęło zamężcie, to poświęcała w klasztornych murach żywot swój modlitwie i dobrym uczynkom; żadna jednak nie splamiła rąk swych rzemieślniczą pracą, prynoszącą ujmę szlacheckiéj godności.

Przytem nie pokładali Jarzymowscy żadnej ufności w powodzenie zamiarów Stefci. W ich oczach Warszawa była jakimś głuchym lasem, pełnym niebezpiecznych manowców i zasadzek... Znękani i trwogą przejęci, zadawali sobie pytanie: jakie téż przygody czekają Stefcię w tém wielkiem, nieznanem mieście, i czy téż sobie radę dać potrafi wśród obcych ludzi, rzucona w wir walki o byt, bez funduszów, bez poparcia, bez opieki, bezradna w powodzeniu, samotna w swéj boleści...

Obawy te i troski miękczyły teraz ich serca, do niedawna tak twarde dla biednego dziewczęcia. Odezwało się w nich rodzicielskie uczucie, przytępione niedostatkiem i ciągłemi kłopotami. Odjazd Stefci napełniał ich żałością; zdawało im się, że to dziecko, z którem się rozstają obecnie, jest najbliższém ich sercu.

Pani Jarzymowska nie ukrywała wcale przed Stefcią troski swéj i boleści, a nawet stary Jarzymowski, zapomniawszy o żalu do córki, unosił się teraz tkliwém wzruszeniem. Zestarzawszy wśród rubasznego otoczenia, zapominali o tém oboje, iż

w téj stanowczéj chwili powinniby raczéj krzepić ducha biednego dziewczęcia i dodawać mu nadziei i odwagi...

Wszystko to rozstrajało Stefcię i napełniało ją smutkiem bez granic. Dopóki, dążąc do urzeczywistnienia swoich zamiarów, walczyć musiała z uporem rodziców, unosił ją zapał walki, potęgujący energię; teraz zaś, gdy z walki wyszła zwycięzko, przerażała ją przyszłość swoją niepewnością, roztkliwiały żałość i łzy rodziców, zasmucał ten odjazd z pod rodzinnéj strzechy w strony obce i do nieznajomych ludzi...

Mimo to, poczęści z miłości własnéj, a poczęści nie chcąc bardziéj jeszcze zasmucać rodziców, nadrabiała fantazyą, okazując męztwo, dzielność i pewność siebie, których wcale nie czuła w téj chwili. Dopiero, gdy wyjechawszy z domu i z oczu straciwszy Jarzymówkę, ujrzała się w szczerem polu, nie broniła się już krwawiącemu jéj serce żalowi i pozwoliła płynąć łzom, które się jéj do oczu cisnęły.

Przed oczyma jéj zarysowała się przyszłość, do któréj zmierzała, pełna trudów i walki, a kto wie, może i niepowodzenia. Przypomniało się jéj wszystko, co mówili rodzice, starając się odwieść ją od powziętego zamiaru. Serce jéj się ścisnęło na myśl, iż wśród obcych, nieznanych ludzi niema nikogo, komu zwie-

rzyćby mogła swe smutki, nikogo, z kim by się mogła podzielić radością...

Oto stoi samotna, jak ten kłos pozostawiony na ściernisku, a będący igraszką jesiennego wiatru. Nie ma z nikąd poparcia; liczyć może tylko na siebie, i z siebie musi wydobyć cały ten zasób męztwa, hartu i energii, bez którego uledzby musiała w walce z twardym losem.

Myśli te roztkliwiały ją coraz bardziéj. Przyczyniało się do tego rozdrażnienie, wywołane widokiem płaczącéj matki i ojca w chwili rozstania, przyczyniał się przymus, jaki sobie od dni kilku zadawała, nie chcąc rodzicom okazać dręczącego ją niepokoju, przyczyniał wreszcie i wpływ jesiennego krajobrazu, który się przed nią roztaczał, usposabiając umysł do posępnéj zadumy.

Było to pod koniec października. Ranek był chmurny i wilgotny. Przez szaromleczny całun, pokrywający całe niebios sklepienie, przedzierało się z trudem ponure światło dzienne, jak gdyby przez gęste sito, i rzucając jakiś ton zimny, szary i martwy na wszystkie przedmioty.

Tła były pozbawione głębi. Nie widać było wesołéj drzew zieleni, ani złota pól, falujących kłosami jęczmienia i pszenicy. Dokoła szarzały skiby zaoranego czarnoziemu, w którego bruzdach zalegały szare, błotne kałuże. Łąki zalane były wodą, odbijającą ołowiane niebios sklepienie. Tu i owdzie wynu-

rzały się z tego szaro mlecznego tła, kępki bujniejszéj zieleni i stogi siana oblane dokoła błotnistą wodą, poczerniałe od słoty, smutny obraz ludzkiéj pracy marnie ginącéj!

Błotna droga od niepamiętnych czasów nienaprawiana, wlokła się leniwo wzdłuż wiosek i chat ubogich o smutnéj powierzchowności. Nie było tam ruchu ni życia; nawet psy zdawały się zasypiać. Tylko z kominów wznosił się kłębami dym, który jednak znów opadał ku ziemi, rozściełając się szarą płachtą dokoła.

Czarna wstęga gościńca mijała niekiedy samotne wierzby, ogołocone już po części z liścia, lub dęby, wyciągające ku niebu swe rozpaczliwie pokurczone konary. Czasem przeskakiwała niepewnym mostkiem szeroko rozlane kałuże, to znów zapadała w lasy, oniemiałe po odlocie śpiewającego ptastwa, senne i pełne tęsknéj zadumy.

Ale tu przynajmniéj bawiła oko jakaś rozmaitość. Jesień przystroiła już drzewa i krzewy fantastycznemi barwami swojéj palety. Na tle niespożytéj lecz ponuréj zieleni jodeł i świerków, uśmiechały się złotym liściem brzozy i lipy, czerwieniły klony, czerniły dęby o pniach, okrytych soczystą mchów zielenią. Gdzieniegdzie z gęstwi wyglądały koralowe głogi i jarzębiny o krwawym kiściu.

Panna Stefania wodziła okiem po tym melancholijnym krajobrazie, którego smutek tak odpowiadał

jéj nastrojowi. Serce jéj ściskały żałość i niepokój. Naprożno siliła się odegnać czarne myśli, które się jéj przemocą wciskały do mózgu i serca.

Nagle, przy wyjeździe z lasu roztoczył się przed jéj oczyma widok odmienny. Szeroka, dobrze utrzymana droga biegła teraz wzdłuż łąk, poprzerzynanych licznemi rowami. Na zieloném ich tle rysowały się olbrzymie sterty siana. Za łąkami, na obszernym łanie widać było kilkanaście zaprzęgów i ludzi, zajętych robotą. Widocznie orano tam podkłady pod zasiew wiosenny.

W dali, przy drodze, widniał wśród kępy drzew dwór piętrowy, jaśniejący białemi ścianami bardziéj jeszcze, niż swą pretensyonalnie pałacową zewnętrznością. Za nim ciągnął się ogród, a daléj zabudowania gospodarskie, o świeżo poszytych dachach, oraz i gumna, pełne stert zbożowych. Turkot, dolatujący od strony tych budynków i słup pary, który się nad jednym z nich unosił, świadczyły, że tam pracować musi parowa młocarnia.

Miłe wrażenie robił ten krajobraz. Wszędzie tu widać było pracę i rozumną myśl ludzką, panującą nad przyrodą. Zdawało się, iż to kraj już inny, a szczęśliwy, tak odmiennym był ten obraz od rozpaczliwego zaniedbania, w jakim się znajdowała sąsiednia okolica. Miłe to wrażenie odczuła bezwiednie panna Stefania.

— *Moi, et c'est assez!* — szepnęła — powtarzając

słowa Medei, i dodając sobie w ten sposób otuchy. Widocznie myślała o tém biedaczka, iż samą teraz jest na tym szerokim Bożym świecie, i że na siebie tylko liczyć powinna.

Konie dostawszy się na suchą i gładką groblę, ruszyły szybszym biegiem.

— Bogu dziękować!—zawołał powożący parobek, zwracając się do naszéj podróżnéj.—Teraz przynajmniéj człowiek po ludzku pojedzie.

— Co to za wieś?—zapytała dziewczyna.

— Jakto, panuńcia nie wie? — odparł ze zdziwieniem w głosie parobek. — Taż to przecie Worochtów!

Panna Stefania wpadła w zadumę. Worochtów był właśnie majątkiem, którym zarządzał pan Maryan.

— To strach, co pan Kozicki zrobił z tego Worochtowa—zaczął znowu parobek, nie mogąc się doczekać odpowiedzi.—A co to było za hrabiego: ojoj!.. Teraz jedziemy, jak po stole; a będzie temu jakoś dziesięć lat, to kole tego mostka, cośmy go minęli... tyle co wtedy mostka jeszcze nie było, ani grobli... utopił Hryć Zadorożny konia na środku drogi... To prawda, co wracał z jarmarku, taj był pijany, ale zawdy co błoto, to błoto.... Dobrze jeszcze, co się sam wyratował z topieli.

— Bo to widzi panuńcia — ciągnął daléj znudzony podróżą i żądny gawędy — ta łąka, o!... to

proszę panuńci, to było takie bagno, co jaż strach!... Nikt się nie odważył jechać tędy po nocy. Ludzie gadali, co tam, Boże odpuść, dyabeł siedzi... Taj, co prawda, paliły się tam nieraz pieniądze, tylo co nikt nie śmiał ich szukać ze strachu... Dopiero jak nastał pan Kozicki, to zara sprowadził nizinierów, taj wziął rowy kopać, jaż bagno osuszył... Ludzie gadają, co skarb znalazł... A no, nie wiedziéć; ale to pewno, co ma siana strach!... O! jedna sterta, dwie, trzy, cztery, pięć; a dawniéj to były tylo moczary... A no, nie trza i dyabła; można miéć za siano dosyć pieniędzy!... Zdrów... zdrów!... widzi panuńcia, co nie ma już dyabła;... konie by zara widziały jakby był... taj nie parskałyby tak ochoczo.

— A to—prawił daléj gaduła—co tam widać, hen, hen: te stogi, to już chłopskie... Jak chłopi zobaczyli, co pan Kozicki ma tyle siana, to wzięli sobie rowy kopać... bo jeszcze gruchnęło między ludźmi, co pan Kozicki skarb znalazł, ha, ha, ha!... A no, pieniędzy nie znaleźli, ale siana mają za to co strach!... Tera będą już mogli trzymać dwa razy tyle bydła, co dawnemi laty.

Opowiadania tego słuchała pana Stefania z zajęciem. Przyjemnemi jéj były pochwały, płynące z ust. kmiotka, a podnoszące zalety jéj przyjaciela. Przed oczyma jéj stanęła znowu postać pana Maryana, i nie

mogła się obronić wspomnieniom, które się teraz nawałem cisnęły do jéj umysłu.

Tymczasem konie biegły, szparko, i wóz, minąwszy groblę, wtoczył się w starą lipową aleję o grubopiennych drzewach, i gałęziach obnażonych z liści, na których niezliczone stada wron odbywały swe wrzaskliwe sejmy. Niebawem z po za lip wynurzył się dwór, zwrócony pałacowym frontem wprost ku gościńcowi. Ściany jego, białe i czyste, przyjemne robiły wrażenie. Przed dworem był obszerny dziedziniec, okolony świeżo postrzyżonym żywopłotem. Na dziedzińcu przeprowadzał stajenny karego arabczyka. Panna Stefania poznała Bagdada, ulubionego wierzchowca pana Maryana.

Wszystko tu było schludne, wszędzie widać były dbałość, ład i porządek. Koło wjazdowej bramo pracowało kilku ludzi naprawiając popsute sztachety. Przed stajnią człowiek jakiś zajęty był smarowaniem uprzęży. Zdawało się, że myśl gospodarza kieruje wszystkiem i wszystkiemi zdaleka, i że wszyscy czują nad sobą jego oko.

Panna Stefania przypatrywała się temu widokowi ciekawemi oczyma, przysłuchując się gawędzie woźnicy, który nieustawał w pochwałach dla pana Maryana. Czuła się mile wzruszoną, nie umiejąc sobie zdać nawet sprawy z powodów tego wzruszenia. Doznawała tego samego uczucia, jakie się budziło w niéj niegdyś, ilekroć przyjaciel jéj zawitał do Ja-

rzymówki. Zdawało się jéj, że on tu być musi, gdzieś blizko, i że lada chwila przyjdzie ją powitać. Więc też mimowoli wyrwało jéj się z piersi westchnienie, gdy wóz, minąwszy dwór, wjechał znowu w lipową aleję, która do wsi prowadziła.

Polem, od strony wsi, biegł z podniesionym do góry ogonem, węsząc po ziemi, ulubiony angielski wyżeł pana Maryana.

— Neptun!... Neptun!...—zawołała panna Stefania wesoło—uradowana widokiem dobrego znajomego. Poczciwe psisko zatrzymało się chwilę, przekrzywiwszy łeb i wachlując ogonem. Wreszcie, widząc że wóz się oddala, odwróciło się i pobiegło spiesznie ku dworowi. Tęskno się na sercu zrobiło biednéj dziewczynie, gdy pies jéj przyjaciela znikł za lipami...

Jednakże wóz toczył się daléj, śród nieustającéj gawędy parobka. Mijali wieś o schludnych chatach i dobrze uprawionych ogrodach. Wszystko to dostarczało coraz nowéj treści żądnemu rozmowy gadule. Tutaj kilkanaście szczepek widocznie nowych, owdzie kilka szufladkowych ulów, tam znowu świeży żywopłot, źrebak roślejszy, albo téż cielę poprawniejszej rasy, zwracały co chwila jego uwagę. Wszystko to było nowém, wszystkiego tego dawniéj nie było, wszystko stworzyła zabiegliwość pana Maryana i jego zachęta.

Gawędzie téj przysłuchywała się panna Stefania

z wzrastającem zajęciem. To, co słyszała, dziwiło ją i zawstydzało zarazem. Czuła, że uprzedzonemi oczyma patrzyła dotychczas na wiejskie zajęcia, które zwała próżniactwem. Wszakże widziała teraz owoce téj pożytecznéj działalności, przyczyniającéj się tak niepospolicie do postępu i cywilizacyjnego rozwoju społeczeństwa.

Być może, iż sobie tak dokładnie sprawy nie zdawała z tego wrażenia; cokolwiekbądź, pojmowała jednak, że praca i przykład pana Maryana wzniecają dokoła postęp i oświatę. Teraz dopiero zrozumiała, że człowiek, pracujący w tym zakresie rozumnie i wytrwale, spełnia równie poważne, jak i zaszczytne posłannictwo.

Marzyła tedy panna Stefania o swym przyjacielu, i wstyd ją ogarniał na myśl, iż mimo całéj życzliwości, jaką dlań żywiła, nie oceniła należycie jego przymiotów. Pan Maryan przedstawiał się jéj teraz w świetle zupełnie odmienném, rosnąc w jéj oczach i jaśniejąc nieznanym dotychczas blaskiem. Wspomnienia chwil ubiegłych nachodziły na nią, jak cienie chmur, i zasępiały ją tęsknotą. Myślała o tém wielkiem a tak szczerém uczuciu, które wzbudziła, a które odtrącić uważała za swą powinność, i myśl ta napełniała ją żałością.

— To był sen tylko!—szepnęła, usiłując otrząść się z tych wrażeń.—Trzeba brać życie takiem, jakiem je los zgotował... Tam moja przyszłość—

w Warszawie!—dodała, starając się wzniecić w sobie otuchę—a przeznaczeniem mojem walka i praca. Wszystko po za tém jest niegodną słabością!

Ale napróżno krzepiła w sobie hart i męztwo; nie mogła zapanować nad sobą, i dopiero w Kowlu, na stacyi, udało jéj się pokonać tęsknotą. Odurzyły ją ruch, zgiełk i gwar podróżnych, oraz ten zapach węglowego dymu, mówiący o Europie, o cywilizacyi i postępie. Z bijącem sercem wsiadła do wagonu, pełna miłego jakiegoś niepokoju. Za kilkanaście godzin stanie u celu swych pragnień, wolna, jak ptaszę; przyszłość od niéj już tylko zależy...

Towarzystwo, które znalazła w wagonie, wzmocniło jeszcze to jéj usposobienie. Było tam młode stadło z okolic Żytomierza, które, pobrawszy się z miłości, a nie mając w miejscu stosownego utrzymania, jechało za chlebem do Warszawy. Oboje młodzi, oboje w sobie zakochani, oboje bogaci w miłość i nadzieję, niewątpili wcale, że tam znajdą to, czego im dotychczas jeszcze do szczęścia nie dostawało.

Warszawa była w ich oczach ziemią obiecaną. Tam przynajmniéj znaléźć może zarobek każdy, kto chce i umie pracować. Ona założy szwalnię, on znajdzie pomieszczenie w jakim biurze i będą szczęśliwi.—To ona myśl tę poddała mężowi, nakłoniwszy go do porzucenia jakiejś skromnéj posady na prowincyi. Nie wniosłszy posagu, chciała mu przynaj-

mniéj nie być ciężarem, i dla tego to rwało ją do Warszawy, gdzie się spodziewała, iż będzie mogła zużytkować swe uzdolnienia i chęć do pracy.

Takie to były nadzieje tych dwojga młodych ludzi, żyjących, jak para rozkochanych wróbli: miłością i nadzieją. Widok ich męztwa i niezłomnéj wiary we własne siły, ożywiał pannę Stefanię i napełniał ją otuchą. Rozsnuwała przed nimi swe zamiary, przysłuchując się nawzajem ich wynurzeniom, a oni pochwalali odważne jéj przedsięwzięcie.

Tak więc owa niepewna przyszłość, ku któréj zmierzali wszyscy troje, a która wszystkim téż w tęczowych przedstawiała się kolorach, była sympatycznym węzłem, zbliżającym ich do siebie, i skłaniających do poufnych wynurzeń. Budując wspaniałe zamki na lodzie, podniecali się i upajali nawzajem, nie wątpiąc ani na chwilę, że zamiary ich jak najlepiej się powiodą.

V.

Po trzech miesiącach pobytu w Warszawie stanęła wreszcie Stefcia u celu swych marzeń. Wybrawszy introligatorstwo, jako zbyt długiéj nie wymagające nauki, przyswoiła sobie w krótkim czasie pewną zręczność w tém rzemiośle.

Umiała porządnie książkę oprawić i zgrabne ukleić pudełko; co więcéj, udawały się jéj nawet i nieco trudniéjsze roboty. Na bombonierkę, którą w ostatnich tygodniach nauki zbudowała, trafił jéj się natychmiastowy nabywca. Tryumf ten pochlebił jéj niezmiernie. Nie zastanawiała się nad tém ile czasu i nakładu zużyła na zrobienie tego cacka i że właściwie, wszystko dobrze obliczywszy, stratę jéj tylko przyniosła ta robota.

Mimo to, czuła się dostatecznie uzbrojoną do walki z losem i zupełnie pewną siebie. Pewnością tą umiała natchnąć jedną z towarzyszek, z którą równocześnie ukończyła naukę. Złożywszy razem swe

skromne fundusze, kupiły warsztat introligatorski, zamierzając pracować na własną rękę.

Pannie Stefanii zdawało się, że zdobyła skarb nieoceniony. Pełna odwagi i otuchy, ani wątpiła o powodzeniu swego przedsięwzięcia. Wiedziała wprawdzie, iż wspólniczką jéj, nie jest dość wprawną w rzemiośle i dość rzutką do interesu, ale to jéj nie przerażało wcale. Zawiązując tę współkę powiedziała sobie, że w tém kojarzącém się, stadle ona musi być mężem, i wziąć na siebie pokonanie wszystkich trudności.

Korzystając więc z chwilowéj nieobecności wspólniczki, która dopiero za kilka dni miała powrócić do Warszawy, zajęła się Stefcia z całą energją urządzeniem młodego introligatorskiego zakładu, na którym zamierzała oprzéć budowę swéj przyszłości.

Myślała, że jéj radość piersi rozsadzi, gdy ustawiwszy zniesione przez tragarzy sprzęty i narzędzia, powiodła okiem po swym pokoiku. Była to ciasna i ciemna izdebka w oficynie jednego ze starych domów na Aleksandryi. Mieszkanko to, wspólnym kosztem najęte, miało być równocześnie pracownią, kantorem, sypialnią i jadalnią obydwu wspólniczek.

Nie wygodne to było i smutne, ale trudno było za tanie pieniądze znaleźć coś lepszego. Brakowało w téj klatce światła i oddechu, i przykre robił wrażenie widok téj ciasnoty, przepełnionéj drzewem i żelaztwem warsztatowych narzędzi. Obok licznych gra-

tów nie sposób było umieścić drugiego łóżka; jadnakże dobre i to na początek! Za marmurowe pałace nie byłaby zamieniła téj niewygodnéj klatki: bo ta prasa, ten hebel, te noże, te winkle—to były skromne początki introligatorskiego zakładu, o którym ani wątpiła, że niebawem zostanie pomyślnie rozwinięty.

Zmęczona ustawianiem przyniesionych sprzętów i porządkowaniem gospodarstwa, usiadła na olbrzymim koszu do bielizny, który, przykryty siennikiem i kapą, udawał kanapę, i przypatrywała się z lubością swojemu bogactwu. Słońce, przekradając się lękliwie przez jedyne okno, rzucało ponure światło na rozłożone dokoła narzędzia, ślizgając się po stali i zapalając szarawosrebnym połyskiem. Zdawało jéj się, że z tego żelaztwa biją promienie, które przenikając do głębi, napełniają duszę młodéj introligatorki światłem, męztwem i otuchą!

Uśmiech zadowolonéj dumy przemknął po jéj twarzy. Przypomniało się jéj to jednostajne życie, które wiodła dotychczas na wsi, w głębi głuchego Polesia. Przypomnieli się jéj sąsiedzi, przypomniał pan Marjan, przypomniały wreszcie obawy i przestrogi rodziców.

— Głupstwo! — pomyślała. — Starzy są zawsze lękliwi, zacofani i pełni uprzedzeń! Czyż nie miała słuszności, działając wedle własnego natchnienia? Cóżby robiła w tém zapadłem Polesiu, gdzie nic nie przemawiało do jéj duszy, gdzie nie było nic,

coby zająć mogło jéj wyobraźnię? I tylko uczuwała trochę żalu na wspomnienie tego poczciwego pana Marjana, który ją kochał tak szczerze, a tak bardzo rozpaczał, gdy mu dała poznać, że nie podziela jego uczucia...

— Co on tam robi, biedaczysko? — szepnęła z westchnieniem. — Co powie, gdy się dowie o moim wyjeździe?.. Zapomni, z pewnością zapomni... Ożeni się i będzie szczęśliwy... Nie może przecie mieć żalu do mnie... Czyż nie postąpiłam uczciwie, czyż nie zrobiłam tego, com zrobić była powinna?.. Trzeba brać życie takiem, jakiem jest. Oto zdobyłam sobie kamień węgielny przyszłego szczęścia... Jestem i pozostanę w Warszawie... Chcę i umiem pracować... nie potrzebuję się troskać o jutro... Przyszłość do mnie należy!

Z marzeń tych zbudził pannę Stefanję szelest zbliżających się kroków. Drzwi się otworzyły z hałasem szeroko, i, ze śmiechem, do izdebki wpadła dwudziestoletnia może blondynka o wesołem spojrzeniu, żywych ruchach i kształtnéj kibici — prawdziwy typ warszawianki.

Krótko, ostrzyżone włosy i z fantazją na główce osadzony kapelusz z ogromnym bukietem kwiatów o jaskrawych barwach, nadawały jéj wyraz jakiś rezolutny i zaczepny. Za nią wsunął się obdarty i bosy dziesięcioletni może chłopczyna, który zatrzymawszy się przy drzwiach, wlepił w twarz Stefci

spojrzenie natrętnego pieska, domagającego się spodziewanéj łakotki.

— Jak się macie, Stefanio—zawołała nowoprzybyła, ściskając i całując gospodynię. — Wpadłam tu do was na chwilę, aby zobaczyć, jakeście się urządzili... A wiecie co, że dobry znak! Po drodze wstąpiłam do „Merkurego", bo mi mama kazała kupić bułek i cukru... Muszę wam zostawić jedną bułkę i kawałek cukru—powiadają, że to szczęście przynosi.

I jęły się znowu całować i ściskać, czyniąc zadość téj potrzebie pieszczoty, tak właściwéj młodym dziewczętom.

— Co ja widzę? — zawołała nagle blondynka.— Toście wy sobie włosy ostrzygli, Stefanio?

— Tak! — odparła, śmiejąc się introligatorka.— Poszłam za waszym przykładem... Mam zamiar ogromnie pracować, i nie chcę tracić czasu na czesanie.

— Eh, eh, e!.. Tak to się zawsze mówi!.. Przecież byście tego nie zrobili, gdybyście nie wiedzieli, że wam z tém będzie do twarzy.

— Alboż mi z tem do twarzy?

— No, i jak jeszcze!... Słowo honoru—szyk facetka!—dodała, odstąpiwszy dwa kroki, i przypatrując się jéj z oddalenia. — Jakby was zobaczył wasz konkurent, toby oszalał do reszty... Wiecie, co myślałem o tém wczoraj: ja wam powiadam, że on tu do was przyleci.

— Nie wiedzieć co!...

— No, no, wspomnicie moje słowa!... On tam gdzieś biedaczysko desperuje, a wy o nim nawet nie pomyślicie... To bardzo niepoczciwie z waszéj strony.

— Owszem, myślałam o nim przed chwilą.

— No i co? Bardzo wam żal?

— Bardzo—nie bardzo; ot tak, cokolwiek... Myślałam o tém, że zapomni, że się pocieszy, ożeni, i będzie szczęśliwy.

— Och, jakie to poetyczne, ha, ha, ha!... To wy się w nim kochacie, słowo honoru!

— Ech, cóż znowu?... Żałuję tylko, żem go obraziła.

— Ależ on się nie gniewa!... Zobaczycie, że on tu przyjedzie... Czegoż ty, chłopcze, czekasz jeszcze?— dodała, rzuciwszy okiem w stronę drzwi.

— Ach, on czeka na dwa grosze — zawołała, śmiejąc się introligatorka.

— Na jakie dwa grosze? — zapytała blondynka, siadając na koszu, który udawał sofę.

— Za to, że was tu przyprowadził.

— Nie wstydzisz to się chłopcze, być takim natrętnym?

— Dajcie pokój, dajcie pokój! — uspakajała, śmiejąc się, Stefcia. — To mój lokaj przecie!... Nie możemy wywiesić znaku, bo nie mamy patentu; obiecałam mu więc dwa grosze za każdego gościa, którego mi przyprowadzi.

— Ha, ha, ha!—zaśmiała się panna Zofja.—A ja

się dziwiłam, zkąd on się domyślił, że was szukam... Tylkom weszła do bramy, zaraz mnie spytał: czy pani do introligatorki? Tak — powiadam. — To ja panią zaprowadzę. I prowadził mnie przez podwórze, oglądając się co chwila, czy za nim idę?... A ty, niecnoto! Ja myślałam, że ty taki grzeczny, a tobie chodziło o dwa grosze.

— Dobrześ zrobił, Jasiu, dobrze! — rzekła dobrotliwie panna Stefania, wsuwając chłopcu dwa grosze w rękę i głaszcząc go pod brodę.

Jaś ucałował jéj rękę i wysunął się z izdebki, rzucając blondynce wrogie spojrzenie.

— Co się to stało, Zofio, żeście mogły wyjść tak wcześnie? — zapytała, siadając obok gościa swego introligatorka.

— Zrobiłam sobie dzisiaj wakacje — odparła blondynka. — Nie mam i tak pilnéj roboty... Odprowadziłam Cesię Helerównę na koléj, po drodze wstąpiłam do „Merkurego", i przyszłam do was.

— To Helerówna odjechała?

— A tak.

— Na wieś?

— Ale gdzież tam... Pojechała do Genewy na przyrodę.

— Na przyrodę?

— Tak!... Znaczy na „uniwersytet", na kurs nauk przyrodniczych... Ale ktoby tam tak długo gadał... Mówi się na przyrodę, i już!

— Jaka ona szczęśliwa!

— O, z pewnością!... Ale co się napracowała, to strach!... Teraz jeszcze tylko trzy lata potrzebuje siedzieć w Genewie, a potém zostanie doktorką...— Co tu gratów, co tu żelaza! — dodała, rozglądając się po izdebce.

— No, i jakże wam się wydaje nasza pracownia? — zapytała wesoło panna Stefania.

— Trochę ciemno i trochę ciasno!—odparła blondynka, powiodłszy okiem po izdebce.

— Nie mówcież tego Ludmile, jak przyjdzie, bo by się zraziła.. Nachodziłam się niemało po mieście, ale wszystko takie drogie, że to strach.

— Ileż wy tu płacicie?

— Osiem rubli z samowarem.

— To drogo.

— Tak, ale miejsce dogodne... środek miasta, niedaleko uniwersytet, gimnazjum... Można mieć łatwiéj robotę w tém sąsiedztwie.

— Jakże wy się tu pomieścicie... Gdzież postawicie drugie łóżko?

— A na co drugie łóżko?

— Jakto, razem będziecie spały?

— Ale gdzież tam!... Ludmiła będzie spała na łóżku, a ja tu.

— Gdzie tu?... Na téj sofie?

— To nie sofa, to kosz na bieliznę! — odparła, panna Stefanja. — Przykryłam go siennikiem i ki-

limkiem; w dzień będzie udawał sofę, a w nocy łóżko dla mnie.

— Żartujecie chyba!... Gdzież na tém spać można?

— Doskonale!... Nasztukuje się krzesełkami i będę spała, jak królowa.

Blondynka rzuciła jéj spojrzenie pełne uwielbienia i podziwu.

— A zresztą, czyż mi tu chodzi o wygodę?—rzekła po chwili panna Stefania.—Wszak to początek!... Później, jeżeli się zakład rozwinie, najmiemy inne mieszkanie.

— Spodziewacie się mieć dużo roboty?

— O, z pewnością!... Mamy kilku znajomych studentów, którzy polecą nas kolegom... Należałoby chyba zwątpić o społeczeństwie, gdyby nie poparto kobiet, które chcą pracować!...

— Ale jak wy się urządzicie z tą Ludmiłą?... To podobno straszna niedojda?

— Nie, tak źle nie jest... Jak się jéj robotę wyszuka, przykroi i pokaże, to zrobi, jak potrzeba.

— W takim razie wam wypadnie wziąć cały ciężar na siebie?...

— Oczywiście, a gdzieżby ona to potrafiła?... Muszę mieć głowę na karku za nią i za siebie.

— A to mi śliczna spółka!... Wy będziecie pracowali, a ona będzie jeść!... Ciekawam, do czego się ona wam przyda?

— Najprzód dała połowę kapitału, a potém musi ktoś być w pracowni, podczas, gdy ja będę biegała za robotą i sprawunkami.

— To cóż z tego?... Moglibyście byli znaleźć inną, któraby także miała pieniądze, a umiała pracować.

— Szukałam, ale nie znalazłam... Zresztą i ona może wprawi się powoli do pracy i do interesu... Na razie ja książki oprawiać będę sama, a ona będzie robiła do apteki pudełka.

— Ileż możecie w ten sposób zarobić?

— To względne... Jeżeliby się Ludmiła wprawiła do roboty, to mogłybyśmy zarobić każda do sześciu złotych dziennie... Zresztą, cokolwiek bądź, mam nadzieję, że to, co zaraz z początku będziemy mogły zarabiać, wystarczy nam na zapłacenie komornego, na życie i na ubranie.

— Czy tak?

— O, niewątpliwie... Czasem nawet będziemy mogły pójść do teatru na paradkę,.. Ach, co za rozkosz, co za szczęście! — dodała, ściskając z zapałem swojego gościa. Pomyślcie tylko; dopiéry trzy miesiące, jakem wyjechała z domu, a już mam rzemiosło w ręku, i warsztat, i wszystko czego mi potrzeba.

Blondynka spuściła oczy i westchnęła.

— Wiecie co?—rzekła — ja się boję, żebyście się nie zasypali z tą Ludmiłą.

— Jakto "zasypali"?

— „Znaczy", żeby wam nie zrobiła zawodu... Ona taka jakaś niezdarna i kwaśna... Jakoś mi się nie zdaje, żeby chciała pracować... Będzie więcéj narzekania i kwasów, niż pracy.

— Ech nie! — odparła panna Stefania, dodając sobie własnemi słowami otuchy. — Dlaczegóżby nie miała pracować... Bylem tylko znalazła robotę i urządziła wszystko, nim ze wsi przyjedzie.

— A kiedyż przyjedzie?

— Och, za dziesięć dni dopiéro... Mam przed sobą całe dziesięć dni... Zabiegnę tu i owdzie, będę szukała, przewiadywała się, aż znajdę... Pamiętajcie tylko popierać mnie w waszém kółku.

— Z pewnością!... Ja już od tygodnia pytam wszystkich znajomych, czy nie mają książek do oprawy.

Zamilkły na chwilę. Panna Stefania wodziła okiem po swym pokoiku.

— To wy mówicie, że ta izdebka jest ciasną i smutną? — rzekła po chwili prześladowana myślą, że mieszkanko mogłoby się nie podobać jéj wspólniczce.—Czy ono rzeczywiście robi tak przykre wrażenie?

— Ech nie!... W pierwszéj chwili tylko tak mi się wydawało... Dzień dzisiaj trochę pochmurny, to pewnie dla tego...

— Ach, żeby się tylko Ludmiła nie zraziła—westchnęła introligatorka. — Na oknie postawię kwiat-

ki — dodała po chwili milczenia — a za pierwsze zarobione pieniądze kupię kanarka... Zobaczycie jak to będzie wesoło.

— Ach, już pierwsza! — zawołała blondynka, patrząc na zegarek. — Bądźcie zdrowi, Stefanio... Cieszy mnie, że jesteście tak dobréj myśli... Macie to na szczęście — dodała kładąc bułkę i kawałek cukru na stoliku.

— Zostańcie jeszcze trochę, czego się tak spieszycie?

— Nie mogę, nie mogę!... Miałam być w domu o dwunastéj... Ale cóż robić, jak się z wami zejdę, to się zawsze zagadam i zapomnę o wszystkiém.

— To poczekajcież chwilę, niech się ubiorę... Pójdę do miasta za robotą... Zmęczyłam się ustawianiem tych gratów, i gdybyście zostali, byłabym jeszcze siedziała w domu... Ale tak, to pójdę z wami.

I zebrawszy się spiesznie, wyszła ze swą przyjaciółką.

VI.

Odwiedziła najprzód wszystkich znajomych po kolei, opowiadając wszędzie o swojém szczęściu. Nie szczędzono jéj pochwał ni zachęty, i obiecywano poprzéć, jeżeli się ku temu jakaś sposobność zdarzy. Ale jakież poparcie mogli dać jéj ludzie niezamożni i bez szerokich stosunków?

Rozpoczęła się tedy dla niéj bieganina za chlebem wzdłuż i wszerz po Warszawie. Co wieczór powracała do domu ze zmęczonemi nogami, upokorzona niepowodzeniem, pocieszając się myślą, że jutro będzie inaczéj. Ale jutro było znowu dniem męczącéj gonitwy, próżnego utrudzenia i zawodu.

Nie znała tego kupieckiego świata, zasklepionego w swojéj skorupie, pełnego małomiejskich uprzedzeń i podejrzliwości, a skłonnego nieraz do drwin rubasznych. Wchodziła wszędzie śmiało, ofiarując swój groszowy interes z takim rozmachem, jakby tu chodziło o miliony, a żądając ufności i roboty na porękę

swych dobrych chęci. Zadziwiała wszystkich tém natręctwém, kobiety dążącéj uparcie do zamierzonego celu, i tą śmiałością młodości, która nie wątpi o niczem. Ale nikt nie zastanawiał się nad tém, co ją do natręctwa skłaniało; przedewszystkiém wpadały w oko młodość jéj, zdrowie i śmiałość.

Działo się téż jéj rozmaicie w téj gonitwie za zarobkiem, głównie skutkiem jéj młodości i tego zawadyackiego wyglądu, do którego przyczyniały się teraz niemało krótko ostrzyżone włosy. Swoboda i pewność siebie, którą okazywała, budziły domysły i niedowierzania.

Zauważyć trzeba, że w tym naszym, tak radykalnie postępowym „małym Paryżu", pojawienie się nieznanéj kobiety, szukającéj pracy bez poręki, bez protekcyi, bywa zawsze jeszcze „kawałem nielada", tém większym „kawałem" jeżeli ta kobieta jest przystojną i młodą.

Przytém, były to czasy niesłychanego w świecie handlowym zastoju, pod którego brzemieniem zdawała się w letargu zamierać cała kupiecka Warszawa. Skończony przed kilkoma tygodniami karnawał zawiódł był powszechne nadzieje; więc téż panowało po sklepach duszne jakieś, chmurne i niezdrowe powietrze. Słyszało się nieledwie szum przelatującego nad głowami widma, z którego skrzydeł na ludzi spadają nuda, troska i niezadowolenie.

Tu i owdzie kupcy wertowali handlowe księgi,

susząc sobie głowę nad tém, w jaki sposób odpowiedzieć wszystkim zobowiązaniom. Tu i owdzie rozmawiali z cicha, lub też drzemali subjekci, znudzeni próżném wyglądaniem nieprzychodzących gości, a jednocześnie panny sklepowe, nie mając kogo obsługiwać zabijały robótką lub czytaniem leniwo wlokące się godziny.

Wpadała pomiędzy tych ludzi znudzonych i przygnębionych, jak bomba, wnosząc z sobą jakiś zapach życia i nadziei. Wszystko rzucało się ku niéj z uprzejmym uśmiechem, pragnąc obsłużyć pożądanego gościa; potem, gdy objawiała, że nie przychodzi kupować, lecz ofiarować swą pracę, chmurzyły się i wyciągały twarze, uśmiechnięte niedawno.

Obstalunek pudełek? — także! — miano zupełnie co innego na głowie w téj chwili! Tu chodziło o to, zkąd wziąć pieniędzy na pokrycie płatnego wekslu, na zapłacenie czynszu zaległego, na gaz i pensyę dla sklepowéj służby, a nie o pudełka! A przytém to śmiałe spojrzenie, ten wygląd zawadyacki, te krótko ostrzyżone włosy; ha ha! „niema głupich", wiadomo przecież, o co tu chodzi!

A więc ją odprawiano z wymuszoną grzecznością, poglądając na nią z niedowierzaniem i zdziwieniem. Zdarzyło się tu i owdzie, nawet że zbywano ją szorstko, nie zadając sobie pracy, by pokryć niechęć, wywołaną doznanym zawodem, zwłaszcza, jeżeli tra-

fiła na zły humor pryncypała, lub budziła zazdrosną niechęć pani pryncypałowéj.

Gdzieindziéj znowu zatrzymywano ją dłuższą gawędą, bawiąc się jéj naiwnością. Czasy były ciężkie i nudne; dobrze więc było rozweselić się trochę i pośmiać kosztem „frajerki". Najczęściéj oddawano ją w tym celu na pastwę jakiemuś sklepowemu dwornisiowi, który „zawracał gitarę facetce" dla zabawy pryncypała i kolegów.

To ci dopiéro była „heca" nielada, gdy się „brać na fis" dawała idyotycznym konceptem dowcipkującego żartownisia. „Panna z pudełkami" nadawała się wybornie do téj igraszki. Biedaczka nie rozumiała jeszcze warszawskiéj gwary, owych niby dowcipnych „kawałów", których cały dowcip polega na nieustannem powtarzaniu jakiegoś w modzie będącego brukowego przysłowia. Przytém sądziła, że to, co jéj na sercu leży, musi obchodzić innych również gorąco.

Więc téż dusili się od śmiechu wszyscy w sklepie, gdy się dawała wybadywać dowcipkującemu, który spozierał na nią znacząco, i uśmiechał się zalotnie, rad wielce ze swego tryumfu. Potém, gdy już dość było téj zabawy, zbywano ją obietnicą późniejszych zamówień, któréj oczywiście nie myślano wcale dotrzymać. Tak „wyświecona" odchodziła, pełna dobréj otuchy, podczas gdy gdzieś z za lady odzywało się drwiące „oj-oj" jakiegoś drugiego żartownisia.

„Oj-oj" Kajtusia z „Chaty za wsią" było wtedy bardzo w modzie na warszawskim bruku.

Powodem tego niepoczciwego znęcania się nie tyle może było okrucieństwo, ile ta łobuzowska żyłka, tkwiąca w każdym warszawiaku, owa mimowolna brutalność ludzi próżnych, znudzonych, rozdrażnionych własną biedą, a pragnących o niéj zapomnieć. Chciano się pośmiać troszeczkę, chciano pokazać podwładnym lub też pryncypałowi i kolegom, że się umie poznać na ludziach, i wie, jak ich należy traktować. Cokolwiek bądź, nie brano jéj propozycyi na seryo: w saméj rzeczy czasy były dla handlu ciężkie, a przytém wszystkie sklepy posiadały od lat już dawnych wyrobione stosunki, których zmienić nie miano powodu.

Była więc dla niéj pancerzem ta wiejska prostota, po któréj, jak po hartownéj stali, ześlizgiwały się wszystkie lekceważenia. Szła, jak zapatrzony w gwiazdę swą lunatyk, mając jedynie cel swój na oku, i nie widząc tych zdziwień i podejrzliwości, ani też słysząc niby uprzejmych drwin tych i dwuznacznych przymówień. Inaczéj nie byłaby przeniosła tego bolesnego upokorzenia, które musiało koniecznie przerazić jéj dziewiczą wstydliwość a skruszyć hart i odwagę...

Tak obiegła połowę Warszawy, wszystkie czytelnie, wszystkie księgarnie, apteki i sklepy, które jéj wskazano, nie uzyskawszy nic, prócz niewyraź-

nych jakichś, dalekich i warunkowych obietnic. Wreszcie, po dwunastu dniach takiéj gonitwy, zdobyła pierwsze zlecenie w jakiejś aptece, któréj właściciel zamówił u niéj pewną ilość pudełek.

Trafiła pod dobrą chwilę. Nie było właściwie zapotrzebowania, ale aptekarz, wielki statysta i gaduła, którego dotychczas obsługiwał jakiś żydowski introligator, czuł tego dnia właśnie konieczną potrzebę wynurzenia swych ekonomicznych i socyalnych poglądów.

Wdał się tedy z nią w dłuższą gawędę o wpływie idei ekonomicznych na cywilizacyę, o walce na polu gospodarki społecznéj, o ciężącym na nas obowiązku bronienia się przeciw żydowskiéj inwazyi, o konieczności rozwijania się naszego drobnego przemysłu w kierunku wymagań postępu, tudzież o wielu innych mądrych i pięknych, ale dla niéj niezrozumiałych rzeczach.

Po całogodzinnym wykładzie przeróżnych teoryi zamówił na próbę cztery tuziny sześciopudełkowych „zaców" po cenie, jaką dotychczas płacił swojemu dostawcy. Obiecał, że jeżeli będzie zadowolony z roboty, powierzy jéj w przyszłości stałe zaopatrywanie swego zakładu.

Z drugiéj strony nie zapomniały o niéj poczciwe jéj znajome, głównie zaś panna Zofia, pragnąca gorąco poprzéć usiłowania młodéj introligatorki. Skutkiem jéj starań i zabiegów, stary jakiś literat dał

pannie Stefanii kilkanaście książek do oprawy. Z innych domów dostarczono jéj także trochę roboty, tu mapę do klejenia, owdzie naprawę jakiegoś albumu lub teki do nut. Zebrało się w ten sposób roboty na trzydzieści kilka rubli: był to już zatém początek jakiejś pomyślniejszéj doli, który przybywał w sam czas, aby ją pokrzepić otuchą.

Wspólniczka powróciwszy ze wsi, znalazła już wszystko w pogotowiu, i szczęśliwie został otwarty zakład introligatorski, na którym panna Stefania opierała swe nadzieje. Nie brakło téż na razie zajęcia i raźnie szła robota, głównie dzięki staraniom Stefci, która pracowała za siebie i za towarzyszkę.

Chcąc zresztą, aby wszystko szło po myśli, nie mogła postępować inaczéj. Wspólniczka jéj była dobrą, ale nie stworzoną wcale do roboty dziewczyną. Należało jéj wszystko ułatwić, trzeba ją było nieustannie mieć na oku; sama nie była w stanie dać sobie rady, i co chwila psuła robotę.

Nie zrażało to jednak panny Stefanii i ani na myśl jéj nie przychodziło oszczędzać siebie. Pomimo zdwojonego trudu czuła się szczęśliwą nad wszelki wyraz. Myśl, że jest w Warszawie, wolna, jak ptaszę, które nie potrzebuje słuchać niczyich rozkazów, że żyje w tém ognisku światła, ruchu i życia, do którego ją rwało zawsze nieprzepartym urokiem — myśl ta upajała ją i unosiła, niby wiatr pomyślny, kierujący szkutę po błękitnéj morza toni.

Biła od niéj, jak gdyby łuna wewnętrznego zadowolenia i odwagi, która rozjaśniała ciemną i smutną jéj izdebkę. Zdawało się, że tę klatkę nieraz rozsadzą—śpiew, śmiech i szczebiot wesoły. Odwiedzali też pracownię naszych introligatorek codzień liczni goście: towarzyszki pracujące w rozmaitych zawodach, znajomi studenci i farmaceuci, z którémi zawiązywano stosunki, szukając protekcyi i poparcia dla młodego zakładu. Ludek ten przychodził, aby tutaj zaczerpnąć trochę wesołości, niby wody w leśnéj krynicy.

Pełno tam nieraz było, jak na odpuście, a gwarno ak na jarmarku; rzekłoby się: klatka, pełna ptasząt świegocących wesoło. Każdy się mieścił, jak mógł; gdy nie było miejsca na krzesełkach i na koszu od bielizny, który udawał sofę, siadano na łóżku. Na jednym tylko warsztacie nie wolno było siadać, aby nie przeszkadzać robocie.

Rozmawiano poufale, mówiąc do siebie: „wy, Stefanio", „wy, Kazimierzu", obyczajem robotników. Mężczyznami posługiwano się bez ceremonii, żądając ich pomocy, gdy chodziło o przyciśnięcie prasy, o ściągnięcie opornéj jakiejś szruby, lub też o inną czynność, wymagającą większego sił nakładu.

Ze szczególniejszą uprzejmością przyjmowały introligatorki studentów, gdy przychodzili w towarzystwie téj lub owéj przyjaciółki ci bowiem imponowali im swoją wiedzą i wymową. Poehylona nad robotą,

przysłuchiwała się im panna Stefania, łowiąc chciwie każde ich słówko, niby nieomylny głos wyroczni, i lubując się tą rozmową, która ją napełniała, dumą i rozkoszą.

Było w tém coś zupełnie nowego, coś wcale nie podobnego do tych gawęd szlacheckich, nie przekraczających nigdy progów stodoły, stajni i obory. Ta młodzież mówiła o prawach kobiety, o powinnościach człowieka względem społeczeństwa, o wysokich celach ludzkości, i to z takiém ciepłem, tak pięknie, tak mądrze, że... czasem trudno było zrozumieć.

Oprócz przyjemności, powodował panną Stefanią interes. Spodziewała się, że młodzież ta, mająca ciągle z książkami do czynienia, prędzéj czy późniéj zapotrzebuje jakiejś roboty. Ale studenci nie kwapili się jakoś z tém bynajmniéj. Wpadali co dnia do pracowni, pomiędzy lekcyą a szklanką piwa, czasem pomiędzy dwiema szklankami, aby wypalić papierosa, i „poblagować trochę z facetkami". O oprawieniu książek nie wspominał z nich żaden ani słowa.

Wesoło tedy płynęło naszym introligatorkom życie, i ten gwar, ten ruch, który je ciągle otaczał, zdawał się pannie Stefanii nie przeszkadzać wcale, lecz owszem dodawać jéj podniety do roboty. Czuła się w swoim żywiole, i pełna otuchy, tęczowe budowała zamki, marząc już o chwili, gdy będzie mogła zakład swój rozszerzyć i większe wynająć mieszkanie. Zda-

wało się jéj, że czas ten jest blizkim, i że, zdobywszy swobodę, zabezpieczyć sobie potrafi jéj używanie.

Nie troskała się o przyszłość, bo przyszłość ta w różowych jéj się przedstawiała kolorach. Zresztą nie było czasu na rozpamiętywanie. Upajał ją i unosił wir tego ruchu, w który się rzuciła. W dni powszednie myśléć trzeba było o pracy, o wykonaniu odebranych, a pozyskaniu nowych zamówień; w niedziele i święta szło się w liczném gronie na spacer do Łazienek lub Botanicznego ogrodu, czasem wieczorem do teatru na „paradkę". Trzebaż było po całotygodniowéj pracy użyć świętéj niedzieli...

Rzecz jednak dziwna! Z całego tego roju młodzieży, który ją otaczał, nie wywarł żaden trwalszego wrażenia na jéj umyśle. Ten i ów imponował jéj wprawdzie swoją wiedzą, ten i ów bawił ją sprytem i dowcipem, ale żaden nie zdołał podbić jéj serca, chociaż się o tę zdobycz kusił nie jeden.

Panna Zofia, która codzień niemal odwiedzała swą przyjaciółkę i umiała pozyskać jéj zaufanie, śmiała się z téj nieczułości, tłómacząc ją tém, że nasza introligatorka zostawiła serce na Polesiu. Panna Stefania zaprzeczała temu wprawdzie stanowczo, jednakże, ile kroć myślała o tym lub owym ze swych nowych znajomych, zawsze jéj przed oczyma stawał

pan Maryan, jako przedmiot, służący za podstawę do porównania;

Niezawodna rzecz, że młodzież, którą poznała w Warszawie, przewyższała poleskiego grykosieja zaletami umysłu i wdziękiem młodości, ale żaden z nich nie dorównywał mu szczerością i uczuciem. Było w tych młodzieńcach coś, co ją raziło, a z czego sobie dokładniéj nie zdawała sprawy. Wydawali się jéj zarozumialcami, w sobie zakochanymi, niezdolnymi do prawdziwego a głębokiego uczucia. O, tak! z pewnością, pan Maryan patrzył na nią zupełnie innemi oczyma. W spojrzeniu jego malowało się tyle miłości, tyle uwielbienia! O, tak! polegać można jedynie na takiém uczuciu!...

Tak tedy bronił ją pan Maryan, jakkolwiek daleki, przeciw zabiegom warszawskiéj młodzieży, swojem wspomnieniem, a wspomnienie to nie zacierało się wcale, owszem zapisywało się w sercu jéj coraz wyraźniéj i coraz bardziéj napełniało jéj duszę. Coraz częściéj też bywał pan Maryan przedmiotem jéj rozmowy z panną Zofją, która zdawała się czytać w sercu przyjaciółki, a przyjaźnie była usposobioną dla zakochanego szlachcica.

Facetka litowała się nad jego tęsknotą, i obstawała uparcie przy swojém twierdzeniu, że pan Maryan, pomimo doznanéj rekuzy, przyjedzie do Warszawy, aby zobaczyć się z ulubioną. Stefcia śmiała

się z tych zapewnień, uważając to za rzecz nieprawdopodobną. W gruncie serca jednakże spodziewała się tego przyjazdu; owszem, nawet poczynała uczuwać żal do swego wielbiciela, iż usłuchawszy jéj rady, tak łatwo o niéj zapomniał.

VII.

Upłynęło znowu trzy miesiące. Po trzech miesiącach przekonały się introligatorki, że pod względem pieniężnym praca ich nie przynosi istotnych korzyści. Po wykonaniu pierwszych zleceń, tępo iść poczęły zamówienia; snać wyczerpały się już zapojrzebowania szczupłego kółka, po za którém nikomu tuż więcéj nie był znanym zakład introligatorski panny Stefanii.

Nie wykupiwszy patentu, nie można było wywiesić przed bramą znaku, ani téż urządzić wystawy. Jaś miał coraz mniej sposobności do zarobienia dwóch groszy. Kto tam w półmilionowéj Warszawie wiedział o tém, że w oficynie starego domu na Aleksandryi oprawiają książki i kleją pudełka?

Panna Stefania żywiła jeszcze nadzieję, że zastój ten minie, i że się zakład jéj z czasem ustali, ale nie było ku temu widoków. Robota wychodziła z pod rąk dziewcząt wykończona starannie, lecz w gruncie

rzeczy introligatornia ta była raczéj zabawką, niż interesem.

Aby zarabiać, należało przedewszystkiém robić dużo i oszczędnie. Niestety, mało było zamówień. Materyał kupowano w małych ilościach, a więc po droższéj cenie, gdyż na hurtowny zakup nie było pieniędzy. Przytém nie umiała jeszcze panna Stefania oszczędnie przykrawywać kartonów, których zużywano zbyt wiele, tembardziéj, że się pannie Ludmile niekiedy zdarzało zepsuć robotę. Wspólniczka, nie posiadając wprawy, nie była w stanie zrobić w jednym dniu więcéj nad piętnaście pudełek. Ileż mogła zarobić w ten sposób, skoro w aptece płacono za pudełko po półtoréj do siedmiu kopiejek?

Chromało téż przedsiębiorstwo z tych powodów i nie sposób było postawić go na téj stopie, aby mogło dla dwojga osób stać się podstawą bytu. Nie mając się kim wyręczyć, nie mogła panna Stefania być tak czynną, jakby nią była w innych warunkach. Bieganina za robotą i sprawunkami zajmowała jéj czas, któryby z większą dla zakładu zużytkować mogła korzyścią.

Zdarzało się przytém, iż wyczekiwać musiała w sklepach długie godziny, trawiona niepokojem, a nie śmiejąc okazać swéj niecierpliwości, podczas gdy tam w domu niezdarna wspólniczka, pozbawiona jéj opieki i nadzoru, rady sobie dać nie mogła z robotą. Zdarzało się także, zwłaszcza gdy chodziło

o zapłatę, że jéj kazano powracać na drugi lub trzeci dzień, mało sobie ważąc stratę czasu, którą w ten sposób ponosiła.

W tych warunkach los zakładu naszych wspólniczek łatwym był do przewidzenia. Nie sposób było współzawodniczyć z istniejącemi już oddawna pracowniami, posiadającemi ustalony rozgłos i odpowiednie zasoby. Stefcia zrozumiała nareszcie, że pomimo całéj swéj pilności i zabiegliwości, pomimo hartu i energii, nie podoła zadaniu, i że, zawiązując współkę tak niekorzystną, przeceniła własne siły.

Przytém otworzyły się jéj oczy na wiele rzeczy, których dawniéj nie widziała i nie rozumiała w swéj prostocie. Rozmowy z przyjaciołkami, tudzież, wieczne zaczepki, których bywała celem, ilekroć za sprawunkami do miasta wybiegała, zbudziły jéj wrodzoną płochliwość i pozbawiały dawnéj śmiałości. Coraz przykrzejszym stawał jéj się przymus, który sobie zadawać musiała, starając się o robotę.

Mimo to, trudno jéj było wziąć rozbrat z nadzieją. Przywiązała się już do myśli, że zakład ten stanowi podstawę jéj bytu, i jest kamieniem węgielnym jéj niezależności. Nie mogła się oswoić z tém, że dotychczasowe jéj wysiłki były daremne. Przytém zlecenia przychodziły od czasu do czasu, jak gdyby na igraszkę, i nie pozwalały poddawać się rozpaczy. Tłumiła zatém w sobie smutek i rodzące się obawy, aby nie zniechęcić zbyt łatwéj do zniechęceń towarzyszki.

Chodziło o to, aby przetrzymać jakkolwiek chwilową biedę; suszyła więc sobie głowę biedaczka nad rozwiązaniem tego trudnego zadania.

Miewała teraz niekiedy dosyć czasu i mogła codziennie, zwłaszcza wieczorem, poświęcić kilka godzin innemu jakiemuś zajęciu. Gdyby tak znalazła korzystne zatrudnienie, czy to w domu, czy też po za domem, toby się już przy zdwojonym zarobku nie potrzebowała troskać o jutro. Wczytywała się więc pilnie w *Kuryera*, i wywiadywała o zarobkach, które tam ofiarowano. Niestety, jednak nie mogła znaleźć nic takiego, coby odpowiadało jéj zamiarom i środkom.

Przypadek wskazał jéj drogę, na którą też weszła bez namysłu, pełna ufności i nadziei. Wracając pewnego dnia Saskim ogrodem z wycieczki za sprawunkami, usłyszała za sobą głos nieznany, wymawiający jéj nazwisko. Zaciekawiona, zwróciła oczy w tę stronę, i ujrzała jedną z dawnych koleżanek, która słynęła na pensyi z próżności i ograniczonego umysłu.

Nazywano ją Turą, a przydomek ten zdobyła sobie „kując" bez myśli katechizmowe zdanie: „Pan Jezus miał dwie natury, Boską i ludzką". Początek tego zdania znajdował się na końcu stronicy, na drugiéj zaś umieszczony był ciąg dalszy. Owóż „Tura" zatkawszy uszy, a krzycząc wniebogłosy, powtarzała bez końca: „Pan Jezus miał dwie na... Pan Jezus miał dwie na..."; na téj zgłosce kończyła się

bowiem stronnica. Potém przewracała kartkę najspokojniéj, i jechała daléj: „Tury, tury, tury, tury!... Tury Boską i ludzką... Tury Boską i ludzką... Pan Jezus miał dwie na... tury Boską i ludzką".

— Jarzymowska, jak się masz?... Nie poznajesz mnie? — zawołała Tura, powstając z ławki i wyciągając rękę.

— Jak się masz – odparła Stefcia, odwzajemniając uścisk jéj dość obojętnie.

Tura była ubrana niesmacznie, ale z widoczną pretensyą do oryginalności. Jedwab, koronki, kwiaty, pióra, dżety, świecidełka, a zwłaszcza odurzająca woń Ixory, ktora od niéj biła, świadczyły, iż właścicielka tych wspaniałości pragnie zwrócić na siebie uwagę.

Cały ten fałszywy wykwint kłócił się z sobą odznaczał niepospolitém zaniedbaniem, jak to zwykle bywa u osób nieporządnych, mało inteligentnych, a próżnych. Mimo to widać było w oczach Tury myśl o wrażeniu, jakie sprawia, i wewnętrzne z tego, powodu zadowolenie. Słowem, była to ta sama gęś co dawniéj.

— Nie poznajesz mnie? — powtórzyła raz jeszcze Tura.

— Owszem, owszem! — odparła introligatorka, starając się przypomnieć jéj nazwisko. — Tylko może ty się już tak nie nazywasz — dodała wymijająco.

— Nie, nie wyszłam za mąż, i nie myślę o tém

wcale! — rzekła Tura, pociągając Stefcię z sobą na ławeczkę. — Alboż mi to źle?... Ale co się tyczy nazwiska, to się istotnie nazywam inaczéj.

Jakto? — zapytała ciekawie Stefcia.

— Nazywam się Olgierd Socha! — odparła Tura dumnie.

Introligatorka drgnęła z przestrachu.

— Olgierd Socha? — powtórzyła lękliwie.

— Tak jest, Olgierd Socha!... To mój pseudonim... Wszyscy moi koledzy używają dziś pseudonimów... Bolesław Prus, Litwos, Deotyma, to wszystko pseudonimy... Ja sobie wzięłam męzki dla większéj swobody.

Stefcia przypatrywała się jéj ze zdumieniem. Na myśl jéj przyszło znane niedołęztwo umysłowe Tury.

— Więc ty piszesz?—zapytała po chwili milczenia

— O! już od trzech lat — odparła tamta, uszczęśliwiona wrażeniem, które zrobiła na swéj koleżance.—Wyszedłszy z pensyi, próbowałam guwernerki, ale to nie dla mnie... Powróciłam do Warszawy i wstąpiłam do pisarskiego cechu.

I wyliczyła jednym tchem ze dwanaście pism, które, jak zapewniała, pomieszczają jéj prace.

— Cóż ty piszesz? — zapytała Stefcia.

— Wszystko... Wstępne artykuły, rozprawy, sprawozdania, krytyki; najwięcéj jednak noweli i powieści... Ach! noweli i powieści; to prawdziwie nastarczyć nie mogę.

— I zkądże bierzesz pomysły do tych powieści?

— Widzisz, oryginalnych nie pisałam jeszcze dotychczas, ale mam już w głowie plan do dłuższéj nowelki,—napiszę... Oddam ją na konkurs... Tymczasem tłómaczę z francuskiego, z niemieckiego, z angielskiego, ze szwedzkiego...

— Ze szwedzkiego? czyż umiesz po szwedzku?

— To jest, ja tłomaczę właściwie z francuskiego albo z niemieckiego, ale to na jedno wychodzi... Ot widzisz — dodała, wyciągając z kieszeni podartą książkę w żółtéj okładce — to powieść Fryderyki Bremera, tłómaczona ze szwedzkiego na niemiecki, a ja z niemieckiego przekładam ją na polski... Właściwie mówiąc, przerabiam ją zupełnie, bo powieść jest w trzech tomach, a wydawca chce, żeby to w dwóch tomach pomieścić.

Stefcia patrzyła na nią z niedowierzaniem.

— O, widzisz — ciągnęła daléj Tura, wyjąwszy z kieszeni arkusz zadrukowanego papieru — to moja praca — dodała, wskazując na feljeton. — Powieść Theurieta, „tłómaczył z francuskiego Olgierd Socha".

— Musi cię to nie mało pracy kosztować! — rzekła Stefcia, któréj na myśl przyszło, że Tura nie odznaczała się nigdy dobremi postępami we francuskim języku.

— Ale gdzież tam!... To tak łatwo mi idzie... Czytam, no, i piszę zaraz od ręki... Ta powieść tutaj

to właśnie duży tom; otóż pisałam to wszystkiego cztery czy pięć tygodni.

— No, i ilesz w ten sposób zarabiasz?

— Rozmaicie... Sto dwadzieścia, sto pięćdziesiąt rubli miesięcznie—jak do miesiąca...

Introligatorka wpadła w zadumę.

— Sto pięćdziesiąt rubli miesięcznie -- pomyślała. — Przy największém powodzeniu nie zdołałabym tego wyciągnąć ze swego zakładu... Sto pięćdziesiąt rubli miesięcznie, bez troski, bez upokorzeń: toż to byt zapewniony i swoboda!... Ktoby się tego spodziewał po Turze... Jak to się ludzie zmieniają!

I spojrzała zdziwioném okiem na dawną koleżankę. Tura wydała się jéj teraz całkiem inną.

— No, a cóż ty tu robisz w Warszawie? — zapytała Tura, lubując się zdumieniem swéj towarzyszki. — Wyszłaś za mąż, co?

— Nie — odparła Stefcia, nie zdoławszy jeszcze otrząsnąć się z myśli, które się nawałem cisnęły do głowy. Przypomniała sobie, iż, będąc na wsi, czytała nowelkę z podpisem Olgierd Socha, i wzmiankę, że pod tym pseudonimem ukrywa się kobieta.

— A więc mieszkasz zawsze w Lublinie u babki? — pytała daléj Tura.

— Babcia umarła będzie temu-półtora roku.

— Mieszkasz zatém na wsi, przy rodzicach?... Zajmujesz się gospodarstwem?

— Mieszkam teraz w Warszawie.

— Tak? to ślicznie!... Będziemy się widywały w świecie!... Masz pewno dużo znajomości... starających się, co?

— Nie mam tu nikogo.

— Więc nie myślisz iść za mąż?... To doskonale! Właśnie tak, jak i ja... Masz racyę; niema to, jak swoboda: nieprawdaż?... Czemże się zajmujesz? — dodała przypatrując się jéj ubraniu.

— Założyłam introligatornię.

— Taaak?... No, proszę, no, proszę! — odparła zdziwiona. Musiała się zakochać w rzemieślniku — pomyślała... i sama tu mieszkasz w Warszawie? — spytała po chwili milczenia.

— Mieszkam razem ze wspólniczką.

— A rodzice?

— Mieszkają zawsze na wsi.

— No, proszę, proszę... Czyż ty znasz introligatorstwo?

— Wyuczyłam się go, przybywszy do Warszawy.

— Dziwne, dziwne... I dużą masz pracownię?

— Zaczynam dopiero.

— No, ale przecież sama nie pracujesz?

— Któżby za mnie pracował? — odparła Stefcia, śmiejąc się wesoło.—Jest nas dwie: ja i moja wspólniczka, nie możemy zatem próżnować.

— Dziwne, dziwne! — rzekła Tura, obojętniejąc widocznie.

— Cóż cię tak dziwi? — zapytała Stefcia, uderzona jéj tonem.

— No, przyznasz, że to nie jest rzecz zwyczajna, żeby się panna twego stanu rzuciła na rzemiosło... Cóż cię do tego skłoniło?

— Nudziło mnie to gnuśne życie na wsi... Nie chciałam w domu być ciężarem.

— Taaak?.. Masz racyę! — odparła z niedowierzaniem.—Niema nic nad swobodę... Tylko, że to w Warszawie nadzwyczaj jest trudno kobiecie zdobyć sobie byt niezależny—dodała z przekąsem.

— No, a ty?

— Co innego, ja! — rzekła dumnie.—Ja przecie nie uprawiam rzemiosła... Znalazłam literackie zajęcie... No, ale do tego trzeba talentu i stosunków.

Stefcia przygryzła usta, aby nie parsknąć śmiechem.

— No, winszuję ci, winszuję powodzenia—rzekła wyciągając rękę. — Ale muszę cię już pożegnać... Spieszno mi do roboty.

— Do widzenia, do widzenia—odparła protekcyonalnie Tura.—Bardzo mi było przyjemnie... Gdybyś potrzebowała poparcia prasy, to możesz na mnie liczyć... Adres mój znajdziesz w każdéj redakcyi.

— Dziękuję ci — rzekła, rumieniąc się introligatorka. — I ja mam w domu prasę, ta mi na razie wystarczy—dodała z lekką ironią.

Poczém, raz jeszcze pożegnawszy Turę skinie-

niem głowy, odeszła, niemile dotknięta lekceważącym tonem zarozumiałéj koleżanki.

Jednakże przykre to wrażenie zatarły niebawem inne. Myśl, że niedołężna Tura tak korzystną znalazła pracę, napełniała ją otuchą. Zajęcie pisarskie wydawało się jéj dotychczas czémś tak szczytném, że nie marzyła nawet nigdy o tém, by się wdzierać na tę, zdaniem jéj, niedostępną wyżynę.

Teraz jednakże, wobec przykładu koleżanki, nabrała odwagi. Dlaczegóż nie miałaby w ten sposób wyzyskać swéj znajomości francuskiego języka, i poprawnego stylu, w którym niegdyś na pensyi celowała, skoro Tura, nie posiadająca ani jéj wiedzy, ani zdolności, mogła na tém polu znaleźć pracę i tak korzystny zarobek.

Pomiędzy książkami, które jéj dano do oprawy, znajdowały się „Nowele genewskie" Toepfera. Wróciwszy do domu, rzuciła się natychmiast do czytania, aby się przekonać, czy nie zapomniała francuskiego języka. Niebawem jednak upoił ją niepospolity wdzięk tych drobnych arcydzieł. Owiała ją, jak gdyby świeża woń leśna, coś jakby oddech alpejskiego powietrza, coś co orzeźwiało jéj ducha i krzepiło go zarazem. Zachwycona tym spokojnym poglądem na świat, tym serdecznym humorem, pełnym subtelnéj ironii, nie mogła się oderwać od czytania.

— To śliczne!... To zachwycające! — wołała uradowana, iż tak dobrze rozumie i odczuwa piękność

tych znakomitych utworów.—Ach, gdyby to nie było jeszcze tłómaczone—z jakimże zapałem wzięłaby się do roboty!

Obawy jéj uspokoił nazajutrz księgarz, do którego się udała, by kupić jakąś książkę, nadającą się do przekładu. Dziwnym trafem nie tłómaczono dotąd na język polski żadnéj z tych przecudnych noweli, któremi się tak słusznie pyszni francuska literatura.

Uszczęśliwiona kupiła więc „Nowele genewskie", i zabrała się natychmiast do pracy. Zrazu szło jéj to dosyć trudno, znając bowiem język francuski dokładnie, odczuwała wszystkie intencye autora, a chcąc je oddać w wiernym przykładzie, nie mogła się z tém uporać w sposób, któryby ją zadowolnił. Odmienne właściwości języka stawiały początkującéj częstokroć trudne do zwalczenia przeszkody. Powoli jednak oswoiła się z tém tak dalece, iż nie czyniąc ujmy zwykłemu zajęciu, mogła codziennie przełożyć cztery do pięciu stronic druku.

VIII.

Zajętą temi pracami introligatorkę odwiedził pewnego lipcowego poranka gość pożądany, aczkolwiek wcale już niespodziewany. Był to pan Maryan. Przyprowadził go chętny do posługi Jaś, któremu, pomimo iż ciągle przy bramie wartował, oddawna się już nie zdarzyło zarobić dwóch groszy za przyprowadzenie nowego gościa.

Niosąc w rękach olbrzymi zwój papieru, wszedł pan Maryan niezgrabny i zakłopotany. Nie wiedząc, jak wytłómaczyć swe natręctwo, roztkliwiony widokiem ukochanéj, wzruszony, usiłował wymuszoną fantazyą pokryć swe wzruszenie. Śmiesznym go czynił ten przymus, który sobie zadawał.

Serce ściskała mu żałość na widok niewygody i ubóstwa téj ciemnéj i smutnéj izdebki. Wszedł więc, śmiejąc się głośno, ażeby stłumić westchnienie, które mu rozsadzało piersi. Tylko w oczach jego patrzących ze współczuciem, malował się głęboki

smutek. Dzielny szlachcic starał się go pokryć udaną wesołością, z obawy, by nie obrazić dumy swéj sąsiadki.

Ujrzawszy pana Maryana, zapłoniła się Stefcia gwałtownie. Ucieszyły ją, ale i zmieszały zarazem te odwiedziny. Gość patrzył na nią z taką czcią, tak słodko, tak serdecznie, że się jéj aż jaśniéj, weseléj zrobiło pod tém spojrzeniem.

— A więc nie zapomniał — pomyślała — a więc pomimo rekuzy, kocha jeszcze!

Myśl ta przeleciała jéj po głowie lotem błyskawicy i sprawiła nader przyjemne wrażenie. Przybycie pana Maryana schlebiało jéj kobiecéj próżności, a kto wie, może téż koiło tęsknotę, ukrytą gdzieś głęboko, w tajemnym jakimś zakątku serca.

— A to gość nie spodziewany!—zawołała, śmiejąc się wesoło, i podając mu rękę do powitalnego uścisku.—Ach, jakże się cieszę!.. Cóż pana sprowadza do Warszawy?... Pan Maryan Kozicki, nasz sąsiad – dodała, zwracając się do swéj wspólniczki.

Szlachcic ukłonił się pannie Ludmile, potém, ująwszy rękę panny Stefanii, gorący na niéj złożył poca. łunek.

— Cóż pana sprowadza do Warszawy?—zapytała raz jeszcze, odwzajemniając uścisk jego dłoni.

— Interesa, proszę pani — odparł wesoło. — Zawsze te niegodziwe interesa!

Kłamał poczciwiec. Nie mogąc wytrzymać z tęs-

knoty, przyleciał do Warszawy zobaczyć tę, do któréj ciągnęło go serce; chciał wiedzieć, jak jéj się powodzi, chciał ulżyć dręczącéj go tęsknocie! Po za tém nie miał już żadnego interesu.

— Czy to się człowiek może kiedy pozbyć tych interesów—ciągnął daléj z udaném nieukontentowaniem,—Nigdy! Kłopoty go ciągle trzymają za włosy... Tym razem jednak rad bardzo jestem, że mi w Warszawie być wypadło; ha, ha, ha!... Sprawa nie cierpiała zwłoki... Musiałem na Bożą łaskę zostawić fabryki, kośbę... wszystko, i przylecieć do Warszawy... No, a będąc w Warszawie nie mogłem przecie nie dowiedzieć się co się z panią dzieje... Témbardziéj, że mam do pani interes — dodał skwapliwie.

— Do mnie?—zapytała panna Stefania.

— A tak, do zakładu pani... Mapa katastralna Worochtowa do podklejenia... Pół dnia szukałem mieszkania pani, wreszcie przyprowadził mnie tutaj ten poczciwy chłopczyna... Na, masz chłopcze na czereśnie — masz; ha, ha, ha!—dodał, wsuwając Jasiowi w rękę zmięty rublowy papierek.

Jaś spojrzał w garść, nie dowierzając swym oczom a potém z podziwieniem na hojnego szlachcica. Chwilę stał oszołomiony; wreszcie, ochłonąwszy, zerwał się jak wróbel, gdy pochwyci spadłą ze stołu okruszynę, i wyleciał jak z procy, nie zamknąwszy nawet drzwi za sobą w pośpiechu.

— Oho, psuje mi pan mego lokaja — zawołała,

śmiejąc się panna Stefania.—Potém mi już nie zechce gości sprowadzać za dwa grosze...—Niechże pan siada, panie Maryanie—dodała uprzejmie, siadając na koszu od bielizny.—O tu, koło mnie, pogawędzimy po dawnemu... Cóż tam słychać na Polesiu?... Czy dawno pan był w Jarzymówce?

— Przed tygodniem... Wyjeżdżając, nie miałem czasu wstąpić, bo interes naglił ogromnie; ha, ha, ha... Ale wiém, co się tam dzieje... Wszyscy zdrowi, i skarżą się tylko, że pani tak rzadko pisuje... Mówili, że listu nie mieli od trzech miesięcy.

— Ach! tak — odparła z westchnieniem panna Stefania.—Mało mam czasu przy tém zajęciu.

— No i jakże się pani ma?—zapytał pan Maryan, przypatrując się jéj z czułością. — Mój Boże, przecież to już dziewięć miesięcy, jak pani nie widziałem... Czy pani wie, że to już dziewięć miesięcy, — dodał dziwnie żałosnym głosem. — Ale świetnie pani wygląda, ha, ha, ha... Tylko włosy pani obcięła O!... jaka szkoda takich ślicznych włosów... Czy pani chorowała może?... Dlaczego pani obcięła włosy?

— Dla wygody — odparła, rumieniąc się zlekka.—Musiałabym codzień tracić przynajmniéj pół godziny na czesanie... Pracując na chleb, nie mogę sobie pozwalać tego zbytku... Teraz pociągnę grzebieniem raz, dwa, i mogę już siąść do roboty.

Spojrzał na nią smutnemi oczyma.

— Więc ona tak ciężko pracować musi... pomyślał z goryczą.

— Niech pan w domu nie mówi, że sobie włosy obcięłam—rzekła z smutnym uśmiechem.

— O nie, nie powiem — potwierdził uroczyście.

— Czy znajdujesz pan, że mi źle z krótkimi włosami?—spytała z odcieniem niepokoju.

— O nie, i owszem—odparł skwapliwie. — Bardzo z tém pani do twarzy... A jednak, szkoda tych ślicznych włosów, szkoda... Pani się nie gniewa, że to pani powiadam, co? — dodał, tłumiąc westchnienie.—To tak po dawnéj sąsiedzkiéj przyjaźni... Zresztą człowiek sam nie wie, co gada z uciechy, ha, ha, ha!... Przecież to już dziewięć miesięcy, jak pani nie widziałem!

I zaśmiał się znowu, tłumiąc wyrywające się westchnienie.

— Cóż tam słychać na Polesiu?—spytała panna Stefania, aby coś powiedzieć.

— Ach, pani nie uwierzy, jak tam teraz smutno!.. Niema już z kim nawet pogadać... Jak przyjadę do Jarzymówki: to patrzę i myślę: tuśmy rozmawiali z panną Stefanią, tuśmy się śmieli; i zdaje mi się że pani gdzieś być musi, tylko w drugim pokoju... A pani tymczasem w Warszawie ha, ha, ha!

Rozrzewniające wrażenie robił ten jego śmiech dziwny, którym starał się pokryć miotające nim wzruszenie. Rozlegał się po ciasnéj izdebce niby

łkanie, i czuć było w nim i tę miłość wielką, niezachwianą doznaném lekceważeniem, ani też nadwątloną kilkomiesięczną rozłąką, i te samotne smutki, które go truły tak długo, tęskniącego za widokiem ukochanéj bez pociechy, bez nadziei, i tę radość, którą czuł w téj chwili w zbliżeniu do niéj, i oną żałość, którą go napełniał widok jéj niedostatku.

Panna Stefania czuła się mile wzruszoną świadomością téj życzliwości upartéj, niezrażonéj niczém, bezwzględnéj. Przyszło jéj na myśl, iż żaden z mężczyzn, których poznała, nie patrzył na nią takiemi oczyma. Przypomniało się jéj Polesie, do którego tęskniła teraz kiedy niekiedy, przypomniały dawne, lepsze czasy, gdy nie znała jeszcze troski i zawodów, kiedy się świat jéj wydawał tak pięknym, widziany w tęczowych fantazyi kolorach. Myśli te napełniały ją zarazem błogością i tęsnotą.

— I jakże się pani powodzi?—zapytał pan Maryan, powiodłszy okiem po ubogich sprzętach izdebki.

Zapytanie to obudziło ją z zadumy. Spłonęła rumieńcem, spostrzegłszy wrażenie, jakie na jéj przyjacielu zrobił widok tego niedostatku. Upokarzała jéj dumę myśl, iż pan Maryan widzi, jak nie udał się jéj lot o własnych siłach, jak zawiodły ją świetne nadzieje. Po raz pierwszy zawstydziło ją ubóstwo tego mieszkania. Zakłopotana, postanowiła udawać zadowolenie, którego nie czuła.

— Dobrze — odparła skwapliwie, rzuciwszy w stronę panny Ludmiły zaniepokojone spojrzenie. — Doskonale!... Ot, widzi pan, mamy warsztat i rzemiosło w ręku, a więc na razie nie brak nam niczego... Mamy robotę; możemy pracować i zarabiać... Wszystko, co tu jest, do nas należy... Nie mamy żadnych długów, jesteśmy zdrowe i wesołe; czy to nie dosyć na początek?... Każdy początek jest trudny, nie prawdaż?... Później, jak się dorobimy, najmiemy inne mieszkanie, kupimy patent, przyjmiemy robotników, i rozwiniemy nasz zakład na większą skalę.

— Kiedyż to nastąpi? — zapytał pan Maryan.

— O, z czasem, z czasem!... powoli — odparła z naciskiem, spozierając znowu w stronę panny Ludmiły. — Przecież nie od razu Kraków zbudowany... Trzeba pilności, odwagi i wytrwałości do wszystkiego... Teraz czasy trochę ciężkie, to prawda!... No, ale to czas ogórkowy, zatém nic dziwnego!... Później, jak przyjdzie jesień: posypie się robota, zakaszemy rękawy, i będziemy pracować, pracować, aż staniemy u zamierzonego celu.

Pan Maryan westchnął głęboko.

— Jak ona mnie musi nienawidzieć, skoro woli żyć tak, aniżeli ze mną — pomyślał z goryczą.

— Pan wzdycha?—zapytała ze smutnym uśmiechem. — Pan przecież wie, że, jak mój ojciec powiada, ani pies nawet za darmo nie szczeka. To

trudno: kto chce chleb jeść, musi pracować; a ten tylko wart coś na świecie, kto pracuje... Ho, ho, czy pan sądzisz, żem tak do niczego? Patrz pan! — dodała, pokazując mu odciski na zgrubiałéj dłoni. — Trzeba nieraz dołożyć ręki, krając papier, przyciskając prasę, lub ściągając szruby... Ale za to mam wolność, mam chleb i spokojne sumienie!

— I pani to sama odrabiać musi, tak ciężką pracę? — zapytał drżącym głosem pan Maryan.

— A któż za mnie robić będzie, skoro nie mamy pomocników?... Później, gdy rozwiniemy zakład, to co innego; będzie można pracę jakoś rozłożyć... A zresztą, czym to ja lalka?... Panu się zawsze zdaje, że kobieta, to jakieś niedołężne stworzenie.

— Ileż pani potrzebuje na rozwinięcie zakładu? — spytał nieśmiało.

— To zależy od stopy, na któréj się ma go postawić.

— Ile jednak?

— Czy ja wiem... trzysta, czterysta, pięćset rubli!... Dlaczego się pan pyta o to?

Pan Maryan spłonął, jak gdyby schwytany na gorącym uczynku.

— Bo to widzi pani — zaczął się jąkać zakłopotany. — Chciałem panią prosić o jedną łaskę.

— O łaskę?

— Tak jest, o wielką łaskę! — odparł, patrząc na nią błagalnym wzrokiem. — Ale pani się gniewać

nie będzie?... To tak po sąsiedzkiéj znajomości, po przyjaźni...

— Cóż to takiego?... ta mapa? — zapytała, śmiejąc się dziewczyna.

— Eh nie, to późniéj!... Oto, widzi pani, mam tutaj pięć tysięcy rubli, które mi są niepotrzebne w gospodarstwie... z któremi nie wiem, co zrobić:.. Możeby więc pani była tak łaskawą przyjąć odemnie pożyczkę na rozszerzenie zakładu.

— Nie — odparła krótko.

— Ale, cóż to pani szkodzi?... Mnie wszystko jedno, czy te pieniądze leżą u mnie, czy u pani... Przecież pani ma pewność, że się zakład rozwinie pomyślnie, a i ja na to liczę, ha, ha, ha... Chodzi tylko o przyśpieszenie... Odda mi pani, kiedy pani zechce: prędzéj, późniéj—wszystko mi jedno!... To mi żadnej nie zrobi różnicy... To tak, jakbym w kasie zamknął pieniądze.

— Nie, tego nie zrobię — rzekła stanowczo panna Stefania.

— Niech mi pani nie odmawia, bardzo proszę... Przecież, jako przyjaciel, mam prawo żądać téj łaski?...

— Nie nalegaj pan na mnie, panie Maryanie, bo to daremnie... Pan wiesz, że jestem upartą... Nie przyjmę niczyjéj pomocy!

— Ale to nie pomoc, to prosty interes kupiecki... Tak robi cały świat: kupiec pożycza na procent pie-

niądze, gdy mu ich potrzeba w interesie... A może pani chodzi o to, by mi płacić procent, to niech pani sama go wyznaczy... Pół od sta na miesiąc, ćwierć?... W takim razie nie będzie już z méj strony żadnéj przysługi... Wszakże pani ma pewność, że się zakład rozwinie pomyślnie?... Wtedy mi pani odda kapitał z procentem.

— Nie panie, tego nie zrobię — odparła dziewczyna.— Przykrość mi pan robisz, nalegając, bo muszę panu odmówić... Jeżeli mi więc pan dobrze życzysz, to więcéj o tém nie wspomnisz.

Zamilkł, i spuściwszy głowę, pogrążył się w zadumie. I ona milczała także, przygnębiona wrażeniami, jakich doznała od chwili jego przybycia. Było jednak w tém przygnębieniu coś nadzwyczaj słodkiego, coś, co ją rozmarzało i upajało bezmierną lubością. Zdawało się jéj, że jasność jakaś wstąpiła w nią, i że przed tą jasnością pierzchły chmury mroczące dotychczas jéj myśli. Milczała więc, poddając się temu rozkosznemu a nieznanemu wrażeniu. W tém otworzyły się z trzaskiem drzwi izdebki, i z piosneczką jakąś na ustach wpadła do pracowni panna Zofia.

— Ach! — zawołała, spostrzegłszy nieznanego mężczyznę. — Nie wiedziałam, że macie gości.

— Nasz sąsiad, pan Maryan Kozicki — rzekła Stefcia, ściskając rękę przyjaciółki.

Facetka odwzajemniła ukłon szlachcica, poczém,

rzuciwszy się na szyję panny Stefanii, zbliżyła usta do jéj ucha.

— A co, nie mówiłam, że przyjedzie? — szepnęła wśród pocałunku. — Bardzo przystojny!

I śmiejąc się, a z pod oka co chwila na pana Maryana zerkając ciekawie, poczęła introligatorkom opowiadać długą i zabawną przygodę, jaka ją spotkała poprzedniego wieczora w teatrze.

Nie było końca śmiechom i szczebiotowi. Introligatorki, ożywione jéj wesołością, a zaciekawione opowiadaniem, stawiały mówiącéj co chwila jakieś pytanie, lub robiły uwagi, które hasło dawały do nowych śmiechów i żartów.

Pan Maryan siedział wśród tego gwaru smutny i milczący. Słuchając, nie słyszał wcale téj rozmowy. Wpatrywał się osowiałemi oczyma w swą przyjaciółkę, jakby się chciał nasycić jéj widokiem, a w myślach przeżuwał doznane wrażenia, które serce jego napełniały goryczą.

Smutek jego przygnębiał teraz pannę Stefanię, drażniło ją milczenie przyjaciela. Chciałaby go była rozweselić, chciałaby wciągnąć do rozmowy, aby go w dobrém świetle przedstawić przyjaciółce. Co chwila téż rzucała w jego stronę jakieś słówko w zamiarze wywołania odpowiedzi, ale napróżno! Siedział, jak mruk, przygnębiony boleścią, która mu cały hart duszy odebrała.

— Mówże pan co, panie Maryanie! — zawołała

wreszcie zniecierpliwiona. — Naprawdę, wstydzić się muszę tak milczącego sąsiada.

— Eh! — odparł z udaną rubasznością. — Co to mi za sąsiad z pani!... Wyparła się pani oddawna już tego sąsiedztwa, uciekłszy do Warszawy... Czy to tak robią poczciwi sąsiedzi?

Roześmiała się, ubawiona tym konceptem.

— No, ale się pan na mnie nie gniewa tak bardzo, skoro pan przyszedł mnie odwiedzić? — rzekła figlarnie. — Mów pan co, bo gotowam myśléć, że się pan na mnie gniewa.

— O czémże mógłby paniom mówić wieśniak, przybyły z zapadłego Polesia... Przyjechałem tu słuchać, a nie mówić... Potém, gdy wrócę do domu, będę myślał o tém, co słyszałem — dodał z dziwną czułością w głosie. — Chciałbym więc z sobą zapas zabrać jaknajwiększy, bo mi to na długo wystarczyć musi w méj samotności.

Zarumieniła się, usłyszawszy te słowa, na pozór obojętne, a będące mimowolnym krzykiem jego serca. Położenie, w jakim się wobec siebie znajdowali oboje, nadawało tym wyrazom głębsze znaczenie, ton zaś, w jakiém je wypowiedział pan Maryan, nie pozostawiał w téj mierze żadnéj wątpliwości.

Spuściła więc oczy, milcząc, wzruszona tém, co powiedział, zasłuchana w to, czego nie domówił, pełna miłego jakiegoś niepokoju, a wobec tego, co ją niepokoiło, bezbronna. I on zamilkł także, prze-

rażony własną śmiałością, a przygnębiony jéj milczeniem. Zdawało mu się, że mu za złe wzięła ten mimowolny wybuch uczucia. Siedział ze spuszczoną głową, smutny, zły na siebie i bezradny, myśląc w jakiby sposób zatrzéć to niemiłe wrażenie, które wywołał, i nie mogąc znaleźć sposobu. Zosia i Ludmiła, uderzone zakłopotaniem towarzyszki, nie śmiały przerywać milczenia.

— No, i cóż z tą mapą? — zapytała Stefcia, aby coś powiedzieć.

— Ach, prawda, prawda, przepraszam! — odparł z westchnieniem, sądząc, że go się pozbyć pragnie.

I zaczął jéj tłómaczyć swe zlecenie, rozszerzając się nad drobiazgami z udaném zajęciem.

— Na kiedyż to panu potrzebne? — rzekła introligatorka.

— Jak najprędzéj, proszę pani, jak najprędzéj.

— W każdym razie nie mogę tego zrobić, jak za dwa, trzy dni.

— Och, niech się pani nie spieszy! — odparł skwapliwie. — Przykroby mi było, gdyby pani z tego powodu innéj zaniechała roboty... Niema nic pilnego; mogę poczekać.

— No, ale przecież na kiedy to panu potrzebne? — nalegała śmiejąc się Stefcia.

— Niema nic pilnego... Za dwa miesiące, za trzy... Kiedy pani skończy.

— Czy mam panu to pocztą odesłać? — spytała nieśmiało. Spodziewała się, iż powie, że sam po nią przyjdzie.

Spojrzał na nią żałośnie.

— Dobrze... Pocztą! — odparł, nie zrozumiawszy jéj zamiaru — Worochtów, poczta Kowel... Tylko, czy pani to nie zrobi zbyt wiele ambarasu? — dodał, patrząc na nią błagalnie.

— Jakiż ambaras — rzekła, nie domyślając się, o co mu chodzi. — Wysyłałam już ztąd tort do rodziców na imieniny, to i z tą wysyłką nie będzie więcéj kłopotu.

— W takim razie pozwoli sobie pani zostawić pieniądze na tę wysyłkę — rzekł, kładąc na stole dwudziestopięciorublowy papierek.

— Ale cóż znowu!... Niema sensu! — zawołała, rumieniąc się Stefcia. — Na cóż tyle pieniędzy?

— Jakto? a robota, a płótno?...

— To zaledwie trzy, cztery ruble... Może i tyle nie będzie... Nie umiem z góry obliczyć.

— Co pani mówi, co pani mówi?... Zapłaciłem już raz za taką robotę... dziesięć rubli... Tylko, że tamta mapa była o wiele mniejsza.

— To pana obdarli, haniebnie obdarli... Gdzież można żądać dziesięć rubli za taką fraszkę?... Nie mówię: sześć, siedm; chociaż i to już bardzo słono...

— Widocznie pani nie umie liczyć—rzekł, śmie-

jąc się z udaną swobodą. — Najlepiéj więc będzie, gdy tu zostawię pieniądze na wszelki wypadek... Jeżeliby coś zostało, to... to mi pani odeśle razem z mapą do Worochtowa.

I pożegnawszy serdecznie introligatorkę, wyszedł z sercem, przepełnioném żałością.

IX.

Odwiedziny te miłe pannie Stefanji pozostawiły wspomnienie, lecz nie pokrzepiły wcale jéj męztwa i otuchy. Nie wiedziała sama, co jéj się stało, ale czuła się dziwnie przygnębioną. Duszno i smutno było jéj teraz w téj izdebce, która niegdyś wydawała się jéj rajem. Co chwila stawał jéj przed oczyma pan Maryan, a myślą zwracała się bezustannie ku temu wielkiemu uczuciu, które dla niéj płonęło odtrącone, beznadziejne, a jednak tak wierne i niezłomne.

Myśli te napełniały jéj teraz całą duszę. Zdawało się jéj, że słyszy tętno tego szlachetnego serca, które dla niéj bije daleko, że ją owiewa płomień téj miłości, przenikając ją na wskroś, i rozemdlewając tęsknotą bez granic. Nie śpiewała już, nie śmiała się, jak dawniéj, stała się poważną i wpadała coraz częściéj w zadumę.

Przyczyniały się do tego usposobienia wpływem

swoim rosnące co dnia kłopoty, przyczyniało także i lato, tak nieznośne na warszawskim bruku, te prochy, te wstrętne wyziewy, które zdają się oddech piersiom odkradać. Z goryczą przypomniała sobie wonne tchnienie poleskiego wiatru, gdy szumi w warkoczach brzóz nad strugami, podczas gdy przez liście przegląda słońce, rzucając ogromne, krągłe, złote dukaty na wilgotną murawę.

— Jak tam musi być pięknie teraz w Worochtowie! — powtarzała, wzdychając.

Szamotało się tedy biedne dziewczę ze swą tęsknotą, szukając w pracy lekarstwa. Introligatornia mało jéj w tych czasach dawała zajęcia; tém raźniéj za to postępowało tłómaczenie, któremu każdą wolną poświęcała chwilę.

Napróżno się jednakże siliła zadać gwałt własnemu uczuciu; młodość i serce żądały głośno swoich praw. Już jéj teraz nie przyświecały dawne marzenia o zdobytéj siłami własnemi swobodzie. Myśl o niéj nie upajała jéj takim, jak niegdyś, zapałem. Szła ku temu celowi, nie szczędząc pracy, ale praca ta nie napełniała jéj wewnętrznem zadowoleniem. Czuła, że chociażby zdobyć potrafiła byt samodzielny, pokonawszy wszystkie przeszkody — zwycięztwo nie miałoby dla niéj tego, co dawniéj, uroku. Brakowałoby jéj zawsze jeszcze czegoś do tego szczęścia, właśnie, co odtrącić od siebie uważała niegdyś za swą powinność.

I oto właśnie, co ją przerażało! Czuła, że wzrastające uczucie opanowywa ją coraz bardziéj, i że popada sama z sobą w rozterkę. Starała się więc odurzyć pracą, ale zażegnane dziennym trudem myśli powracały w nocy i rozżarzały przytłumione w sercu żarzewie.

To, co w dzień czytała, odbijało się teraz na tle snów, jak gdyby w zwierciedle. Widywała siebie, błądzącą nad kwiecistym brzegiem błękitnych jezior szwajcarskich, pod jasną nieba kopułą, to znów wspinającą się z trudem na lodowe cyple, lub téż przebywającą skaliste jary, na dnie których górskie szumiały potoki. A zawsze i wszędzie, czy to w złotym słońca uśmiechu i pośród rozkosznego kwiecia, czy na lodowych igłach pod mroźnym śnieżycy podmuchem—zawsze i wszędzie był przy jéj boku on, sercem jéj bliski, myślą jéj pokrewny, dla niéj tylko żyjący, rozkochany!

Wspomnienia tych sennych marzeń silnie oddziaływały na biedaczkę, coraz cięższą mrocząc ją tęsknotą. Zdawało się, jak gdyby cień padał na nią od tych jasnych chwil szczęścia, przeżytych we śnie, cień tém mroczniejszy, im jaśniéj w umyśle jéj świeciła pamięć doznanych rozkoszy. Tak tedy opanowywała ją coraz bardziéj miłość, mącąc duszy jéj pogodę. Stefcia czuła się bardzo nieszczęśliwą...

Panna Zofia odgadła boleść swéj przyjaciółki

i starała się napróżno ją rozweselić. Introligatorka unikała poufniejszéj rozmowy, głównie z powodu Ludmiły, któréj obecność zamykała jéj usta. Stosunki pomiędzy wspólniczkami oziębiły się skutkiem wiecznie złych humorów Ludmiły, zrażonéj niepowodzeniem przedsiębierstwa, a podtrzymywanéj w tém usposobieniu przez jakąś daleką, a żądną plotek krewnę, która na nią wpływ teraz wielki wywierała.

Wypadek jednak zdarzył, iż Zosia dnia pewnego odwiedzić mogła swą przyjaciółkę wieczorem. Ludmiła wyszła była właśnie do swéj ciotki; facetka postanowiła więc skorzystać z téj sposobności, i nakłoniwszy Stefcię do zwierzeń, wynurzyć się przed nią z tém, co jéj na sercu ciężyło.

— Słowo honoru, że ja was nie rozumiem, Stefanio — tak mówiła w ciągu téj rozmowy.—Męczycie tylko siebie i tego poczciwego biedaka, który was tak szalenie kocha... Nie ma sensu takie postępowanie; słowo honoru, nie ma sensu.

— Takie już moje przeznaczenie — westchnęła Stefcia.

— Co téż mówicie!... On was kocha i wy go kochacie, bo to przecież widocznem jest dla każdego... Oboje wolni jesteście: gdzie tu może być mowa o przeznaczeniu?.. Przeznaczeniem waszem jest właśnie pobrać się i być szczęśliwymi.. Jest miłość, jest swoboda, jest majątek: czegóż więcéj potrzeba?... Zrazu, jakeście tu przyjechali, tom sobie myślała:

no, nie kocha go, i nie chce sobie wiązać losu z niekochanym... Ale teraz widzę, że ten pan Maryan nie na żarty wam się usadowił w serduszku... Czyż to rozumnie biedować i tęsknić tutaj w Warszawie—skoro szczęście wasze tam!

— Cóż robić?... Szczęście to nie dla mnie.

— Jakto nie dla was?... Przecież was kocha,— i jak kocha jeszcze!... Proszę siadać!... Z każdego słowa, z każdego ruchu widać to było, gdy z wami rozmawiał... Biedaczek! żal mi go było serdecznie!.. Spodziewał się, że mu pozwolicie wrócić tu po tę mapę... Przecież on ją tu przywiózł umyślnie dla tego, by sobie zarezerwować nową „randkę"... A wy nie!.. „Czy mam panu to pocztą odesłać?"—dodała, naśladują głos swéj przyjaciółki.—Myślałam, że się rozpłacze.

— A zkądże ja mogłam wiedzieć, że on tego chce? — odparła ze smutnym uśmiechem introligatorka, ubawiona tonem facetki.

— Zkąd?... Niby wy tego nie wiecie!... Przecież z tonu i z miny można było to wyczytać... Patrzył na was tak miłosiernie; widocznie miał nadzieję, że się nad nim zlitujecie... „Czy pani to nie zrobi zbyt wiele ambarasu"?—zapytał... Myślał biedaczek, że przynajmniéj dla oszczędzenia sobie kłopotów pozostawicie mu możność powrotu... Ale gdzież tam: „Wysyłałam już ztąd tort do rodziców, to i z tą wysyłką nie będzie więcéj kłopotu"... Znaczyło to tyle

co: jesteś pan natrętny; wolę sobie zrobić ambaras, byle pana więcéj nie widzieć!

— Ależ ja tego bynajmniéj nie chciałam mu powiedzieć.

— Ba! ale tak wypadło... Poszedł biedak, jak struty.

— Ech, tak wam się tylko wydawało!

— Ale!... wydawało!... Przecież to było widoczne.

— W tym razie, to jego wina... Przecież mógł powiedzieć, że wróci... Czyżbym mu tego broniła?

— A ba! obawiał się być natrętnym... Probował tędy i owędy nieśmiało... Śmiać mi się chciało na widok jego zakłopotania... Widocznie nie zapomniał o tém, żeście go wodą oblali.

Stefcia milczała.

— No, ale wtedy było co innego—ciągnęła daléj facetka.—Przeraził was niespodziewanym wybuchem, a szklanka stała pod ręką... A więc chłust bez namysłu, ha, ha, ha.. Kto wie, możebym to samo była zrobiła w tém położeniu... To było nerwowe;—jako człowiek rozumny, mógł to pojąć i wytłómaczyć... Przytém, jeżeli się nie mylę: toście wtedy do niego byli zrażeni przez rodziców... Gniewało was, że wam narzucają ten związek, patrząc na tę sprawę jedynie ze stanowiska interesu... Ale co teraz,—to was nie rozumiem; to, co robicie jest szaleństwem, słowo honoru, szaleństwem... Gniewacie się na mnie, że wam to

powiadam?—zapytała, ująwszy ją za szyję i składając na jéj czole pocałunek.

— Ale nie, gdzież tam—odparła Stefcia ze smutnym uśmiechem, odwzajemniając jéj pieszczoty.— Gderajcie daléj!... Owszem, to mi sprawia przyjemność.

— Otóż widzicie, moi drodzy — ciągnęła daléj Zosia, ośmielona jéj przyzwoleniem.—Widzicie, ja tak myślę: iść za mąż wbrew sercu, dla majątku, to istotnie podłość, i tegobym nikomu nie doradzała... Ale wyrzekać się szczęścia wtedy, gdy się kocha rzeczywiście, dlatego jedynie, że ten, którego się kocha, ma pieniądze, to, słowo honoru: szaleństwo!

— Byłażbym szczęśliwa z tą myślą, iż żyję z jego pracy?—rzekła Stefcia ponuro.

— Dzieciństwo!... Czyż tam na wsi niema dosyć roboty i czyżbyście tam nie mogli pożyteczniéj pracować, niż tutaj, oprawiając książki i klejąc pudełka?... Nie umiecie gospodarować? To się nauczycie, wielka rzecz!... Wiejskie zajęcia nie miały dla was ponęty; teraz byłoby zupełnie inaczéj!... Ho, ho, ręczę za to!... Teraz mielibyście cel przed oczyma... Jakaż praca może dla poczciwéj kobiety miéć urok większy nad pracę przy boku kochanego męża—pracę, która przynosi dla jéj rodziny, dla istot sercu jéj najdroższych pożytek?

— Tak to się mówi, ale w życiu nieraz bywają ciężkie chwile... Ja go znam; och! onby mi z pewno-

ścią nie wymówił nigdy mojego ubóstwa!... Ale ja sama, ja sama,—czyżbym w każdéj ciężkiéj chwili nie pomyślała, że mu jestem ciężarem, czyżbym zniosła myśl, że jemu zawdzięczam wszystko, sama nie wniosłszy nic do naszéj wspólki?

— Jakto nie?... Wszakże powiadam, że przynieślibyście swoją pracę.

— I cóżby ona znaczyła w porównaniu z jego pracą?...

— Eh, prawdziwie, złość mnie już bierze!—przerwała, niecierpliwiąc się Zosia. — Wszakże on mężczyzna, a wy kobieta; siły nierówne, więc téż i nierówne muszą być obowiązki... Rozfantazyowaliście się na tym punkcie, i trafić z wami do ładu nie sposób... Dobrze jest, że kobiety dążą do bytu samodzielnego, raz dlatego, aby nie potrzebowały frymarczyć uczuciem, a powtóre dlatego, aby nie były mężowi ciężarem... Ale u was niema przecież mowy o frymarce, bo serce wasze do niego należy... Tak samo niema obawy, byście mu byli ciężarem... Ma byt dostatni, jest dzielnym gospodarzem: o cóż tu może chodzić jeszcze?

— Zawsze o jedno i to samo, że on przynosi wszystko, a ja nic.

— Ależ, na miłość Boską, miejcie rozum!... Wszakże pieniądz nie jest wszystkiem na świecie... Przeceniacie wartość pieniędzy, a nie doceniacie uczucia... Fe! nie spodziewałam się tego po was wcale...

Zapatrujecie się na uczucie tak samo, jak te, które w małżeństwie widzą tylko interes...

— Ja? — zawołała Stefcia, zdziwiona tym zarzutem.

— A tak, wy!... Ach, Boże! gdybym wam mogła to wytłómaczyć!... Przecież chodzi o to, aby pójść za głosem serca, nie oglądając się na majątek, nieprawdaż... No, a wy cóż robicie?... Zadajecie gwałt sercu przez wzgląd na majątek.

— Gderajcie daléj, gderajcie daléj! — rzekła ze smutnym uśmiechem introligatorka.

— Jak nie mam gderać, kiedy mi was obojga żal, a najwięcéj tego poczciwego biedaka.

— O!

— Z pewnością!... On daleko od was lepszy!... On to daleko szlachetniéj pojmuje... Przecież mógłby szukać innéj jakiejś facetki z posagiem, gdyby wyżéj cenił pieniądz nad uczucie. Ale nie... on was kocha dla was samych, i to mi się w nim głównie podoba... Nie możecie wątpić o szczerości jego uczucia. Czegoż chcecie od niego jeszcze? Chcielibyście, by porzucił gospodarstwo, wyzuł się z całego mienia, i przyszedł tu z wami książki oprawiać?... Wtedy nie mielibyście mu już chyba nic do zarzucenia, ha, ha, ha!... On byłby tak gołym, jak i wy; moglibyście więc razem śpiewać Tadeusza.

— Kto wie, czyby potrafił?—rzekła Stefcia, ubawiona tym konceptem.

— Co czyby potrafił?... Śpiewać Tadeusza?

— Kleić pudełka.

— Wielka sztuka!... Proszę siadać! Z pewnością mielibyście z nim mniéj kłopotów, aniżeli z Ludmiłą... Nie grymasiłby przynajmniéj tak, jak ta niedojda.

Stefcia westchnęła.

— Koniec końców trzeba coś postanowić, bo to niema sensu!... Zasypaliście się z tą introligatornią... Lada dzień powie wam Ludmiła: Adiu Fruziu!... cóż robić wtedy?

— Sprzedam tłómaczenia, i wrócę jéj włożone pieniądze.

— Niema sensu!... Czyż chcecie daléj trzymać zakład?

— Oczywiście!... Przecież to mój fach... Trzeba tylko przebiedować te ciężkie czasy, potém już będzie lepiéj... Może się uda znaléźć inną wspólniczkę.

— No, i na co? pytam was, na co?... Chcecież tak wiecznie biedować, i kwasić się, i schnąć z tęsknoty?.. Jaki będzie koniec tego wszystkiego?... Dajmy na to, że wam się lepiéj powiedzie, cóż zrobicie?... Wyjdziecie za innego?... Poświęcicie tego, którego kochacie, dla jakiegoś niemiłego faceta?

— Nie wyjdę wcale za mąż — odparła Stefcia chmurnie.—Czyż nie można wolną pozostać?

— Oczywiście, że można, i nawet należy, jeżeli się nie trafia los według serca. Ale odpychać rękę

tego, którego się kocha,—to słowo honoru daję: waryacya!

— Na mojem miejscu zrobilibyście to samo.

— Ja? cóż znowu!... O! jabym się długo nie namyślała... Zabrałabym mapę z sobą i pojechałabym do domu dla odwiedzenia rodziców.

— A potém co?

— A no, zrobiłabym to samo co on zrobił... Przecież on dlatego mapę zostawił, aby miéć powód do zbliżenia się... Otóż, przejeżdżając przez Worochtów...

— To wy zapamiętaliście gdzie on mieszka?

— No jakże: Maryan Kozicki, Worochtów, poczta Kowel, nieprawdaż?

— Tak—odparła, śmiejąc się introligatorka.

— Otóż, przejeżdżając przez Worochtów, starałabym się, aby mnie zobaczył... W potrzebie kazałabym go wywołać.

— Co?

— No, tak, w interesie... Powiedziałabym mu, że mapa jego gotowa, żem ją w pośpiechu zapakowała w walizkę, ale mu ją, przyjechawszy do domu, odeszlę... Onby oczywiście powiedział: „ach, pani, na cóż pani ma sobie robić ten ambaras; ja sam po nią przyjadę"!... Jabym wtedy spuściła oczy, i powiedziała: „I owszem, bardzo mi będzie przyjemnie"... Onby przyleciał zaraz na drugi dzień, po mapę; uważacie: nie dowas, —tylko po mapę... Rozumie się, że-

byśmy w Jarzymówce nie gadali o mapie... Na raz—dwa dałabym mu do poznania, że mu sprzyjam.

— Nigdy, nigdy!—Zawołała Stefcia uroczystym głosem.—Coby on teraz pomyślał o mnie, gdybym się skłoniła do tego, czegom mu wpierw odmówiła... Wszak widział moją biedę i moje kłopoty... Nie uwierzyłby szczerości mego uczucia... Pomyślałby, że mu się oddaję z rozpaczy, zwątpiwszy o sobie, że go biorę dla pieniędzy... A ja... a ja—dodała głosem, pełnym łez—ja kocham go dla niego samego, dla jego zacności... dla jego tak stałego i szlachetnego uczucia!

— Nie, nigdy! nigdy! — ciągnęła daléj z goryczą.—Onby musiał mną pogardzić, i jabym sama gardziła sobą... A cóżby na to powiedzieli rodzice, sąsiedzi, sąsiadki?... Nie,—nigdy, nigdy, nie przeżyłabym téj hańby... Trzeba pokonać tę słabość niegodną, choć boli, choć piecze! Jedną rzecz uratuję przynajmniéj z téj walki... godność własną... szacunek dla siebie!

I rzuciwszy się z płaczem na szyję przyjaciółki, poczęła ją ściskać i całować namiętnie.

— No, no, nie płaczcie, Stefanio, nie płaczcie! — pocieszała panna Zofia, tuląc biedaczkę do siebie i odwzajemniając jéj pieszczoty .— Bóg da, że się to wszystko ułoży... Może się wam z temi tłómaczeniami lepiéj powiedzie, niż z introligatorstwem... Nie płaczcie, bo mi serce z żalu pęka... Powiadacie, że

tłómacząć, można zarobić sto, sto kilkadziesiąt rubli miesięcznie... Toż to majątek, toż to posag prawdziwy... Ach, jak mi przykro, żem z wami rozpoczęła tę rozmowę!... To moja wina, moja wina; nie gniewajcie się na mnie! No, no, nie płaczcie!... Zobaczycie, że się wam powiedzie... Wyjdziecie za mąż za niego... Będziecie siedzieli na wsi, pracowali i zarabiali... Na wsi jest dosyć czasu... Można codzień kilka godzin poświęcić literackiej pracy... Zobaczycie jak będziecię szczęśliwi!

I tuliła ją do siebie, pieszcząc i całując, ale nie mogła uspokoić. Spazmatyczny płacz wstrząsał łonem biednéj Stefci i łzy rzęsiste spływały jéj po twarzy. Snać wyczerpała już była walka, którą z sobą od kilku tygodni toczyła, zasób jéj sił moralnych. Nie była w stanie zapanować nad rozluznionemi nerwami

Gwałtowny wybuch ten zaniepokoił pannę Zofię. Nie wiedziała, co począć z rozszlochaną. Wreszcie, korzystając z powrotu Ludmiły, rozebrała przy jéj pomocy schorzałą, i, urządziwszy na łóżku wygodne posłanie, nakłoniła Stefcię do spoczynku.

X.

Przesilenie to odchorowała nasza introligatorka, ale wyszła z przebytego wstrząśnienia podźwignięta na duchu, zwycięzka i jak gdyby uszlachetniona. Nie odzyskała już wprawdzie dawnego wesela, lecz, bądź co bądź, wywalczyła sobie pewien spokój duszy i pewną umysłową pogodę.

Świadomość odniesionego nad sobą zwycięztwa napełniała ją cierpką rozkoszą, i w oném to dumném lecz, bądź co bądź, żałosném poczuciu spełnionéj ofiary, jakiem się upajamy, ilekroć porywy własnego serca złożonym na ołtarzu tego, co według naszych pojęć stanowi obowiązek, czerpała tę siłę, która ją broniła od przygnębiającéj tęsknoty.

Do twarzy jéj było z tym szlachetnym smutkiem, który obecnie zasiadł na jéj czole. Nie było to już owe zuchwałe dziewczę, rzucające się na oślep w odmęt walki życia, nie znające niebezpieczeństw, na jakie się naraża; była to kobieta dojrzała, zaharto-

wana w cierpieniu i zdająca sobie sprawę ze swego położenia, ale świadoma własnéj siły i krocząca odważnie do celu, do którego ją wiedzie powinność.

Tak uzbrojona mogła już teraz mężnie czoło stawiać wzrastającym co dnia kłopotom. A było tych kłopotów co niemiara! Coraz trudniéj było o robotę, a razem z brakiem zarobku pukał do izdebki naszych introligatorek niedostatek. Nie czuła go wprawdzie Ludmiła, która co miesiąc z domu otrzymywała pieniężny zasiłek, ale biedna Stefcia, wyczerpawszy przywiezione z domu fundusze, musiała nieraz sprzedawać coś ze starzyzny, aby uzyskać pieniądze na życie.

W ten sposób pozbyła się najpierw zbytecznych rupieci; niebawem jednak przyszła koléj na przedmioty bardziéj potrzebne: na zimowe ubranie i na pamiątki. Dewizka, broszka, kolczyki, pierścionki, słowem, z wyjątkiem zegarka, wszystkie klejnoty dziewczęcia powędrowały jedne po drugich do lombardu.

Zły humor Ludmiły utrudniał jeszcze to, i tak już dosyć kłopotliwe położenie. Wspólniczka narzekała teraz bez przerwy, wyrzucając Stefci, iż ją namówiła do tak niewdzięcznego, a kłopotliwego zajęcia. W jéj oczach była to nierozsądna dziwaczka, z któréj szaleństwami godzić się daléj nie było sposobu. Wszakże odrzuciła ofiarowaną sobie pożycz-

kę, za pomocą któréj zakład świetnie mogła była rozwinąć.

Żądała natarczywie zwrotu wkładu włożonego w spółkę.... Umysłowe lenistwo Ludmiły i brak energii, czyniły ją niezdolną do przedsięwzięcia jakiegoś stanowczego kroku. Mimo to nagliła towarzyszkę do sprzedaży warsztatu i rozwiązania współki, namawiana do tego przez swą ciotkę, która ją chciała przyciągnąć do siebie, osobiste w tém mając widoki.

Stefcia opierała się wszelkiemi siłami. W jéj oczach stanowił warsztat zawsze główną podwalinę jéj bytu. Trudno jéj było wziąć rozbrat z tą myślą, iż złe przeminie, i że znalazłszy zręczniejszą i energiczniejszą wspólniczką, zdoła dawne swe urzeczywistnić nadzieje. Szło przecież ku jesieni, a w jesieni łatwiéj już będzie o robotę....

Poczęła więc szukać dogodnéj towarzyszki, licząc na to, iż w danym razie, jeżeliby takiéj nie znalazła, sama Ludmiłę spłacić potrafi. Ukończyła już przekład kilku noweli, i spodziewała się, iż za tę pracę znaczniejsze uzyska wynagrodzenie.

Jakoż, poprawiwszy i przepisawszy rękopis, udała się do najbliższéj redakcyi, celem zaofiarowania swéj pracy. Weszła nieśmiało i jak gdyby przerażona własném zuchwalstwem. Doświadczenie, które niegdyś zebrała w czasie swéj za robotą gonitwy, odbierało jéj odwagę. Cześć dla drukowanego słowa i myśl, iż stoi przed jednym z kapłanów pióra,

dla których zawsze tak wielkie żywiła uwielbienie, potęgowały jeszcze nieśmiałe jéj zakłopotanie. Czuła, jak gdyby się nogi pod nią uginały; piersiom jéj zabrakło oddechu. Zapłoniona, ledwie mogła wyszeptać, co ją sprowadza.

Odmówiono jéj oczywiście, tłómacząc się nawałem przygotowanych do druku materyałów. Nieśmiałe jéj wystąpienie było wręcz przeciwne temu, jakieby mogło w tym razie zapewnić jéj pożądany skutek. Tyle już widziano szarych wróbli, ofiarujących rymowane i nie rymowane miernoty, że tylko niedowierzanie mogła wzbudzić jéj nieśmiałość. Odprawiono ją więc grzecznie, ale stanowczo, z widocznym zamiarem pozbycia się natrętnéj, zajmującéj drogi czas jałową paplaniną.

Kto wie, gdyby weszła była z ową pewnością siebie, która ją dawniéj unosiła, gdyby była przemówiła z oną swobodą, którą daje zarozumiałość—może byłaby znalazła posłuch wdzięczniejszy, a może nawet i powodzenie w tym świecie, gdzie niestety, tak często blaga popłaca! Jednakże nie była to już dawna Stefcia, goniąca mrzonki tęczowe, i nie wątpiąca o niczém. Doznane zawody zwichnęły jéj skrzydła motyle i pozbawiły ją onego pysznego zaślepienia młodości „co krawędź ziemi z krawędzią świata sili się spoić, myśląc, że zbrata!"

Wyszła bardziéj jeszcze onieśmielona, przerażona widokiem tych obcych twarzy, zawstydzona

własném zuchwalstwem i przygnębiona doznaném niepowodzeniem. Ciężko jéj się w sercu zrobiło na myśl, iż w pośród tych ludzi, wśród których jéj obecnie wypadało szukać zajęcia, niema ani jednego człowieka, na którego poparcie liczyćby mogła z ufnością.

Przypomniała się jéj Tura; odtrąciła jednak myśl szukania pomocy u zarozumiałéj, a niemiłéj koleżanki. Po odprawie, którą jéj dała w Saskim ogrodzie, nie mogła uciekać się do jéj opieki. Byłoby to upokorzenie, któregoby duma jéj nigdy nie zniosła.

Jednak położenie, w którém się znajdowała, nie pozwalało jéj poddawać się rozpaczy. Czas naglił i potrzeba było zrobić coś koniecznie, a ponieważ dokonawszy tłómaczenia, wstąpiła raz na tę drogę, należało więc iść nią daléj mężnie, nie zrażając się lada niepowodzeniem.

Rozpoczęła się tedy dla niéj bieganina wzdłuż i poprzek Warszawy, pod biczem spojrzeń, których natrętna ciekawość napełniała ją wstydliwym niepokojem. Wchodziła do tych nor ciemnych, pełnych tytuniowego dymu, pełnych gwaru nieznanych mężczyzn, pełnych krzątania się kobiet, zatrudnionych w redakcyi, a przypatrujących się niechętnym okiem domniemanéj współzawodniczce. Wszystko to ją raziło, wszystko to budziło jéj dziewiczą płochliwość. Zdawało się jéj, że panujące tam duszne powietrze odkrada oddech jéj piersi.

Zbywano ją grzecznie, lecz z pewném zdziwieniem. Widocznie nie pojmowano, jak może obca i nieznana ubiegać się o ten zarobek. Gdzieniegdzie zapytywano ją wręcz: z czyjéj przybywa poręki. Gdzieindziéj zatrzymywano rękopism rzekomo celem przeczytania, prosząc by przyszła za kilka dni, lub za tydzień po odpowiedź. Po tygodniu zwracano jéj go nietknięty, oświadczając, że powieść za długa, za mało zajmująca, lub téż nie zgodna z tendencyą dziennika.

Były to czywiście tylko wybiegi, w istocie bowiem nie czytano wcale jéj pracy. Po nienaruszonym węzełku sznureczka, którym obwiązała rękopis, starannie w papier owinięty, poznała Stefcia, iż nigdzie dotychczas nie zadano nawet sobie trudu przejrzenia jéj roboty.

Zawód ten dotknął ją boleśnie. Sądziła się już tak blizką celu, nadzieja zdawała jéj się uśmiechać tak ponętnie! Teraz przekonała się, że droga przed nią zamknięta, że, to co jéj najbardziéj na sercu leży, nie obchodzi nikogo, i że bez znajomych, bez poparcia, bez wpływowych przyjaciół nic zrobić nie zdoła w tym świecie, którego wrót strzegą: monopol i kumostwo.

Mimo to, trwała w swym uporze. Postanowiła daléj probować szczęścia, nie ustając wpierw, aż się przekona o zupełnéj bezowocności swoich zabiegów. Nie chciała miéć sobie do wyrzucenia braku hartu

i wytwałości. Szła tedy bez ufności, ale teraz już i bez lęku, odwiedzając kolejno redakcye i ofiarując wszędzie swe przekłady.

Wreszcie, po długiéj bezowocnéj bieganinie, spotkała ją w redakcyi pewnego tygodnika miła niespodzianka. Zwrócono jéj wprawdzie rękopism, ale tym razem rozwinięty, a więc czytany widocznie. W dodatku poproszono ją, by przyszła nazajutrz w celu rozmówienia się z redaktorem, który ma zamiar powierzyć jéj jakąś robotę.

Stefcia nie posiadała się z radości. A więc stanęła wreszcie u celu swych pragnień! Zdobyła wytrwałością przystęp do tego umysłowego ogniska, którego płomień ożywia ciepłem swojém całe społeczeństwo. Wywalczyła sobie uporem możność pracowania na téj wdzięcznéj niwie, a praca ta zapewni jéj byt samodzielny i... Nie śmiała roić daléj; słowa, któremi ją pocieszała Zosia, brzmiały jéj teraz w uszach niby czarująca muzyka, a przed oczyma malowały się cudowne szczęścia obrazy. Obawiała się myśléć o tém, by szczęścia tego nie urzekła.

Z bijącém sercem i pełna gorączkowego niepokoju, udała się nazajutrz do redakcyi, gdzie już zastała redaktora, który na niéj najlepsze zrobił wrażenie. Był to mężczyzna średniego wieku, o bystrych, przenikliwych oczach i ustach, rozkwieconych uśmiechem, który twarzy jego nadawał wyraz jakiejś jowialnéj, poczciwéj dobroduszności.

Głos jego miał słodkie miodowe intonacye, ruchy przypominały dystynkcyę kupczyka z magazynów *du Louvre* lub *Au bon marché*. Słowem, był to typ doskonały fałszywego poczciwca, handlującego uprzejmością i serdecznością, a robiącego na tym handelku dobre interesa.

Ale panna Stefania nie zastanawiała się nad tém wcale. Oczarował ją odrazu swym ojcowskim tonem, oraz kilkoma frazesami, wyrażającemi uznanie dla kobiet, które przez pracę dążą do wyzwolenia. Chwalił styl jéj poprawny, język czysty, tudzież inteligencyę, któréj dowód złożyła w swym przekładzie uwydatniając z takiem poczuciem miary intencyę autora. Wypytywał ją zręcznie o jéj stosunki, dziwił się, że zaraz w pierwszéj próbie tak zręcznie pokonać zdoła wszelkie trudności, wreszcie dał wyraz ubolewaniu, iż wybrała autora i utwory, tak mało odpowiadające duchowi czasu i wymaganiu czytelnictwa.

— To mdłe, proszę pani... To dobre dla pensyonarek — mówił w toku téj rozmowy. — Chociaż dzisiaj już i pensyonarki mają inne pojęcia i domagają się czegoś innego... Czytając miałem to wrażenie, jak gdybym jadł rosół z cielęciny... Dobre to było kiedyś, ale dzisiaj trzeba koniecznie coś pikantnego, trzeba koniecznie bifsztyku!... Zola, Daudet, Maupassant, pogłębili pojęcia francuskiéj powieści... Co tam za pyszne studya, jakie wspaniałe

obrazy... Jakby to pani znakomicie oddała, znając tak doskonale język francuski, mając styl tak poprawny i takie poczucie artystycznych intencyi pisarza.

— Z największą chęcią! — westchnęła Stefcia trochę zakłopotana.

Nie znała dobrze tych pisarzy. Czytała Daudeta „Tartarin'a z Tarasconu" i kilka noweli Maupassant'a, które na niéj nie zrobiły wrażenia; ale o Zoli słyszała, iż jest wielce nieprzyzwoitym.

Jednakże wspomnienie tego sądu nie było wcale powodem jéj zakłopotania. Powaga, a nadewszystko ton ojcowski redaktora, nie pozwalały wątpieniu zakorzenić się w jéj umyśle. Upokarzało ją tylko to, iż się tak bardzo zachwycała pięknością „Genewskich noweli".

— Prawdopodobnie nie znam się na tém — pomyślała zawstydzona.—A jednak jakie to śliczne!... Mnie się zdawało, że to arcydzieła!

— Otóż właśnie myślałem o pani — ciągnął daléj redaktor. — Mam zamiar rozpocząć nowe wydawnictwo: dodatek powieściowy do naszego pisma, pięć do sześciu arkuszy miesięcznie... Do tego będziemy potrzebowali tłómaczki, bo nasza dotychczasowa współpracowniczka wyjechała, i nie myśli się tém już więcéj zajmować .. Tylko — dodał, śledząc na twarzy introligatorki wrażenia tych słów — my nie możemy dużo płacić, ale to prawdopodobnie różnicy nie zrobi.

Stefcia westchnęła.

— Owszem — ośmieliła się odpowiedzieć ze smutnym uśmiechem. — Jak się zdaje, będzie to w przyszłości jedynym moim funduszem, co piórem zarobić potrafię.

Redaktor schmurzył brew.

— No — odparł. — Wszakże to pani wszystkiego czasu nie zajmie... Przetłómaczyć pięć do sześciu arkuszy miesięcznie, to dla pani niewielka rzecz... Może pani pracować jeszcze dla dwóch, trzech pism; czasem się i u nas coś trafi... W ten sposób może sobie pani zapewnić bardzo wygodne utrzymanie. Jeżeli pani u nas zarobi dwadzieścia rubli, a w dwóch innych pismach także po dwadzieścia rubli, to będzie według Pitagoresa, razem sześćdziesiąt rubli — dodał z uśmiechem, zadowolony wielce ze swego konceptu.

Stefcia westchnęła.

— Cóż, czy to nie wystarczy? — zapytał z udaném zdziwieniem.

— Najzupełniéj! — odparła wzruszonym głosem dziewczyna.

— No, widzi pani, widzi pani! — rzekł jowialnym tonem. — Jak to dobrze się porozumieć... Cokolwiek bądź nie możemy więcéj płacić, jak tylko trzy ruble od arkusza druku, bo czasy są nadzwyczaj ciężkie, a to wydawnictwo jest tylko próbą; kto wie czy się powiedzie... To wypada trochę mniéj, niż

dwa grosze od wiersza, ale wiersze za to są krótkie; krótsze, niż gdzieindziéj... Poprzednia współpracowniczka nasza brała mniéj, ale pani chętnie postąpię, dlatego, że mi się styl pani podobał—dodał z uprzejmym uśmiechem.

Kłamał bezczelnie, korzystając z jéj trudnego położenia i niewiadomości. Poprzednia współpracowniczka miała lepsze warunki, zapłata, którą obecnie introligatorce ofiarował, wynosiła nie trochę mniéj, niż dwa grosze, lecz o mało co więcéj, aniżeli grosz od wiersza; wreszcie w zamierzoném wydawnictwie wiersz miał być wprawdzie krótszy, lecz za to składany drobnym drukiem. Wynikające ztąd różnice były wielce niekorzystne dla tłómacza.

Ale Stefcia nie rozumiała tych tajemnic. Wiersz krótki, wiersz długi, rosół cielęcy, Daudet, Zola, Maupassant, wszystko to tańczyło w głowie jéj skoczną jakąś sarabandę, która w dziwny zamęt wprowadzała jéj myśli. Z całéj przemowy redaktora zrozumiała tylko to, iż znalazła zarobek, zabezpieczający przyszłość jéj pewniéj, aniżeli dotychczasowe przedsiębiorstwo.

Przytém pochlebiała jéj próżności myśl o zajęciu, jakie się teraz przed nią otwierało. Wstępowała do téj wielkiéj rodziny, która duchowem mlekiem swojem karmi całe społeczeństwo; miała się przyczynić do tego błogosławionego siewu, użyzniającego umysły. To był już zakres pracy wcale inny, aniżeli

dotychczasowe introligatorstwo. Co tam powiedzą na Polesiu, co powie pan Maryan, gdy wyczyta nazwisko jéj na drukowanym papierze?

Pół uchem więc tylko słuchała gawędy redaktora, który jéj wykładał swą wydawniczą teoryę, polegającą na dostarczaniu czytelnikom jak największéj ilości druku po jak najtańszéj cenie. Wypływało ztąd, że w interesie ogólnego dobra współpracownicy zadawalniać się powinni małą zapłatą, gdyż inaczéj nie mogłoby istnieć wydawnictwo, dostarczające ogółowi duchowego posiłku.

Czas jakiś tłómaczył jéj wymowny redaktor swoje poglądy, usiłując wszczepić w umysł jéj wynikającą z nich moralną naukę. Wreszcie, przekonawszy się, że to zbyteczne, gdyż i tak ufność w nim najzupełniejszą pokłada, wciągnął adres jéj do listy współpracowników i pożegnał uszczęśliwioną zapewnieniem, że jéj za kilka dni przyśle do tłómaczenia nową powieść, którą z Paryża sprowadza.

XI.

Wróciwszy do domu, zastała tam Stefcia kupca na warsztat, którego sprowadziła usłużna ciotka panny Ludmiły. Przykro się zrobiło biednéj dziewczynie na myśl rozstania się z tym dobytkiem, do którego widoku przywykła. Te heble, prasy, winkle były tylekroć świadkami jéj radości i smutków; oko jéj spoczywało na nich tyle razy w chwilach wesela i tęsknoty. Zdawało jéj się, że to nie rzeczy martwe, lecz osoby, wierni towarzysze dobréj i złéj doli.

Chwilowy smutek rozproszyły niebawem weselsze myśli. Warsztat nie stanowił już dla niéj podstawy bytu; inne widokręgi otwierały się teraz przed jéj oczyma, inne się jéj uśmiechały nadzieje! Dzięki Bogu mogła obecnie już przeboléć pozbycie się tych gratów, które utraciły dla niéj wartość praktyczną.

Nadto zwinięcie introligatorni przynosiło jéj dwie

prawdziwe korzyści. Rozwiązanie wspólki uwalniało ją od towarzystwa wiecznie skwaszonéj Ludmiły, któréj sam widok już rozstrajał ją obecnie. Z drugiéj strony, sprzedając warsztat i narzędzia, odzyskiwała fundusz, który był w nich uwięziony, a fundusz ten był jéj wielce potrzebny, zwłaszcza obecnie, gdy jéj przybywał kłopot, zkąd wziąć pieniędzy na opędzenie kosztów życia do czasu, aż zarobek swój ustalić potrafi.

Pamięć o tych względach zatarła niebawem wrażenie przelotnego smutku, jaki ją był ogarnął. Ze spokojem i niemal z wesołością przystąpiła do nadarzającego się interesu i po krótkich targach dobiła sprawy, osiągnąwszy korzystną cenę. Kupując z drugiéj ręki, zapłaciły introligatorki przed rokiem, sześćdziesiąt rubli za warsztat i narzędzia; obecnie udało się Stefci uzyskać za nie o dziesięć rubli więcéj. Nietylko więc nie było straty, lecz jeszcze pięć rubli zysku na głowę. Panna Stefania była uszczęśliwiona tym wynikiem.

Zdawało się teraz dziewczynie, że jéj spadł kamień z piersi, gdy się ujrzała samą po wyniesieniu warsztatu i po odejściu Ludmiły, która uznała za rzecz stosowną wyprawić przy rozstaniu czułą scenę.

— Ach, nareszcie! — westchnęła.

Pozbyła się téj kuli u nóg, która ją dotychczas pętała. Teraz przynajmniéj może swobodnie praco-

wać, nie oglądając się na nikogo, nie skrępowana niczém. W istocie dzieciństwem było z jéj strony martwić się sprzedażą warsztatu, skoro sprzedaż ta była warunkiem odzyskania swobody.

Kazała natychmiast zamieść wszystkie kąty i wymyć podłogę, poczém zabrała się do przestawienia pozostałych sprzętów, aby nadać wygląd pełniejszy ogołoconéj z mebli izdebce. Ukończywszy tę robotę, odetchnęła swobodniéj. Mieszkanko przybrało pozór jaśniejszy i weselszy. Kwiatki w doniczkach stały na oknie czystą przysłoniętém firanką, kanarek pluskał się w klatce, używając kąpieli, jak gdyby odczuł tę zmianę, która zaszła w życiu jego pani.

— O, z pewnością! — szepnęła. — To zupełnie coś innego. Introligatorstwo było zabawką tylko i omyłką. Wartoż było pensyę kończyć na to, by oprawiać książki i kleić pudełka!... Teraz dopiéro zacznie się rzeczywista praca... A jaki z téj pracy pożytek, jaki zaszczyt!

Widziała się już myślą w gronie swych poleskich sąsiadów, przekonanych jéj powodzeniem. Nikt już teraz nie śmiał powątpiewać o słuszności i prawdzie jéj poglądów. Mogła teraz śmiało rękę wyciągnąć do pana Maryana; nie wątpiła, iż pomiędzy nimi dawna nie istnieje różnica. Zdobywszy sobie zaszczytne stanowisko, stanie obok niego, nie obawiając się krytyki zawistnych. Nie będzie to już da-

wna Stefcia z Jarzymówki, o której można było pomyśléć, iż świetną zrobiła partyę, złotopiórego ułowiwszy ptaszka. Nikt jéj teraz nie posądzi o to, że wyszła za mąż dla majątku.

Myśli te upajały ją i unosiły. Zdawało się, że jéj skrzydła wyrosły u ramion, tak się czuła pokrzepioną na duchu, tak pełną nadziei. Kanarek, ukończywszy swą kąpiołkę, zaczął teraz wesołą piosenkę. Zdziwiła się sama, gdy spostrzegła, iż i ona śpiewa. Tak dawno się jéj to nie zdarzało; zapomniała już była śmiechu i śpiewania. Minione smutki wydawały się jéj, jak przykry sen; teraz dopiéro otwierało się dla niéj nowe życie.

Tak tedy zmiana ta przynosiła jéj rzetelne moralne korzyści, podnosząc męztwo jéj i otuchę; pod względem materyalnym jednakże nie polepszyło zwinięcie introligatorni kłopotliwego jéj położenia. Mapa Worochtowa była już oddawna podklejoną; wypadało ją odesłać, a odsyłając, wrócić panu Maryanowi kilkanaście rubli z otrzymanego zadatku. Powietrze oziębiło się było znacznie, i czuć się dawał brak cieplejszego ubrania; należało więc wykupić okrycie, zastawione w lombardzie. Za kilka dni przypadał już termin zapłaty czynszu; potrzeba było kupić nowe buciki, papier i pióra do pisania, wreszcie zapłacić dawny dług u stróżowéj i zapewnić sobie obiad przynajmniéj na pół miesiąca.

Na to wszystko potrzeba było pięćdziesiąt cztery

ruble; fundusz zaś jéj wynosił trzydzieści pięć, a spodziewany zarobek w redakcyi piętnaście do ośmnastu rubli miesięcznie. Stefcia obliczała, że nigdyby z długu nie wyszła, jeżeliby się jéj nie udało znaleźć jeszcze innego jakiegoś zarobku. Należało się więc pożegnać do czasu z kochaną swobodą, należało się postarać o jakiś obowiązek.

Przymus to był przykry dla niezależnego a świetnemi nadziejami rozkołysanego dziewczęcia. Mimo to, trzeba było robić, co nakazywał rozsądek. Poczęła więc Stefcia przemyśliwać nad tém, coby jéj najlepiéj odpowiadało obecnie. Najstosowniejszém jeszcze byłoby dla niéj miejsce tak zwane *demi place*. Mieszkając przy jakiéjś rodzinie, i całodzienne tam znalazłszy utrzymanie, mogłaby pół dnia poświęcić tłómaczoniom. Byłoby to i przyzwoiciéj i korzystniéj. Osiągnąwszy cel ten, nie potrzebowałaby się już o nic kłopotać.

Stało temu to wprawdzie na przeszkodzie, iż, nie mając patentu, nie mogła *w Kurjerze* zamieścić ogłoszenia. Pełna dobréj otuchy nie wątpiła jednak, iż i bez tego cel swój osiągnie. Powiadomiła więc o swym zamiarze znajome i przyjaciołki, ufna, że na téj drodze znajdzie to, czego szuka.

Jakoż rzeczywiście podano jéj adres pewnych państwa, szukających nauczycielki do swéj najmłodszéj córeczki, na warunkach takich właśnie, jakie

znaleźć pragnęła. Stefcia poszła natychmiast za tą wskazówką.

Była to średnio zamożna mieszczańska rodzina, mieszkająca we własnym domu, ale gnieżdżąca się w niewygodném i szczupłém mieszkaniu, którego widok przykre robił wrażenie. Pokoje były napchane gratami rozmaitego pochodzenia. Obok starych, wypełzłych rypsowych mebli o wygniecioném siedzeniu, stały tu i owdzie zabrudzone antyki, za któreby wysoką cenę zapłacił lubownik starożytności. Obok osikowych szaf i komód mieściły się okazy nowożytnego zbytku, mogące być ozdobą buduaru wykwintnéj jakiejś zbytnicy. Wszystko to, odrapane i zakurzone a ustawione bez ładu i smaku, przypominało tandetę. Widoczném było, że część tych przedmiotów została wybraną za komorne od niewypłacalnych lokatorów.

Stefcię przyjęła pani domu, otyła, przeszło czterdziestoletnia jejmość o grubych rysach, nieprzyjemnym wyrazie twarzy i pretensyonalnie zaczesanych filutkach. Przypatrując się podejrzliwie jéj krótko ostrzyżonym włosom, przystąpiła do oświadczenia swych warunków z bezwzględnością i szorstkiém lekceważeniem. Widocznie przyjmowanie nauczycielki było w jéj oczach koniecznem złem, któremu się poddawała ze wstrętem tylko, nie zadając sobie nawet trudu, by go utaić.

Wymagała dozoru i początków dla siedmioletniéj

dziewczynki, oraz lekcyj francuskiego języka dla dwóch starszych już chłopców, uczęszczających do gimnazyum. Żądała przytém zastosowania się do domowego porządku, zastrzegając się przeciwko przyjmowaniu odwiedzin, tudzież chodzeniu do teatru i na wieczory.

— My tutaj spokojnie żyjemy—mówiła—i wcześnie kładziemy się spać... Nie lubimy hałasów i nie chcemy, aby nas budzono po nocy.

Stefcię ubodły te niedelikatne zastrzeżenia, a bardziéj jeszcze szorstki ton, z którym je robiła gospodyni. Postanowiła jednak nie zrażać się tém pierwszém przyjęciem, pocieszając się nadzieją, iż z czasem uda się jéj za pomocą łagodności ugłaskać niedelikatną chlebodawczynię.

Nie myślała wcale chodzić do teatru, ani na wieczory;—nie miała również znajomych, na których odwiedzinach by jéj zależało, a z Zosią mogła się widywać gdzieindziéj. Chodziło jéj głównie o to, by sobie zapewnić kawałek chleba i kącik spokojny, gdzieby mogła pracować; to zaś jéj właśnie ofiarowywano. Stłumiwszy tedy w sobie chwilowe oburzenie, przyrzekła, iż się zastosuje do wszelkich wymagań.

Zażądano od niéj, by tego samego dnia objęła swe obowiązki. Pragnąc złożyć dowód dobrych chęci, poddała się i temu warunkowi. Miała więc tylko czas wpaść na chwilę do Zosi, donieść jéj o zawar-

téj umowie. Następnie pobiegła do domu, spakowała naprędce pościel swą i bieliznę, poczém, przywoławszy posłańca, kazała skromny tobołek ten zanieść za sobą, pozostawiając resztę drobnych gratów na miejscu, aż do czasu, gdy przyjdzie opróżnić dawne mieszkanko.

Pokój, który jéj oddano do użytku, przylegał do kuchni i był przechodnim. Nie odpowiadało to wprawdzie pojęciom Stefci o „mieszkaniu oddzielném", jakie jéj przyrzeczono, ale trudno się było spierać o to. Zresztą nie było wyboru w téj ciasnocie.

Wszystkie inne pokoje były zajęte, a przejście nie było konieczném—można było dostać się do kuchni z mieszkania gospodarzów inną drogą.

Perkalowa wypełzła firanka rozdzielała oddany jéj pokój na dwie połowy. Za firanką stało przeznaczone dla niéj żelazne łóżko bez materaca;—po téj stronie firanki: stół, kilka osikowych krzeseł, stara komoda, oddana jéj widocznie do użytku, jak to wskazywały na wpół otwarte szuflady, i olbrzymia, olejno malowana szafa, któréj przeznaczenia Stefcia nie mogła się w pierwszéj chwili domyśléć.

— Prawdopodobnie grat jakiś nieużyteczny, którego gdzieindziéj nie zdołano pomieścić — pomyślała, ścieląc swe nowe gniazdeczko. I nie zastanawiając się nad tém dłużéj, poszła oświadczyć pani

domu, iż gotową jest przystąpić do powierzonego sobie zajęcia.

Pierwszy wieczór, spędzony na tém miejscu, przykre na niéj sprawił wrażenie. Chłopcy byli niepojętni i krnąbrni, dziewczynka przez matkę rozpieszczona i niechętna do nauki. Nie były to więc wcale przyjemne widoki dla młodéj nauczycielki. Nadewszystko jednak przykrym zapowiadał się stosunek z gospodarzami, ludźmi skąpymi, bezwzględnymi i nieokrzesanymi, a pełnymi zarozumiałości.

Długo zasnąć nie mogła biedaczka, trapiąc się myślą, jak ciężkie ją czekają przejścia w tym domu, gdzie się wszystko składało na to, aby jéj najprzykrzejszym uczynić trudny obowiązek, którego się podjęła. Pocieszała się nadzieją, że czas to odmieni i że wyszukawszy sobie stałe zajęcie w innéj jeszcze redakcyi, jak to jéj doradzał redaktor, potrafi zarobić tyle, ile jéj potrzeba było na zapewnienie wygodniejszego utrzymania.

Nazajutrz o świcie zbudziło ją krzątanie się kucharki, która, wszedłszy do jéj pokoju, otworzyła tajemniczą szafę. Stefcia usłyszała dziwne jakieś głosy, niby przesuwanie blaszanych naczyń, niby przelewanie wody. Rozespana dziewczyna nie mogła pojąć, co to znaczy. Nieustające to szwędanie się budziło jéj ciekawość.

— Co to jest? — zapytała, wyzierając z za swéj firanki.

— Kąpiel dla pana! — odburknęła kucharka tonem zadąsanych sług, sprawujących z niechęcią jakiś niemiły obowiązek.

— Co? — zawołała przerażona dziewczyna.

— A no, przecież mówię, że się pan tu będzie kąpał.

— Jakto tu? w moim pokoju? Ależ to nie może być!

— Tak, tak — rzekła już łagodniéj kucharka. Przerażenie Stefci udobruchało ją było widocznie; odczuwała w oburzonéj nauczycielce spólniczkę własnych swych dla państwa niechęci. — A jakże! — ciągnęła daléj, kiwając głową żałośnie. — On się tu co dnia kąpie; a w lecie to nietylko on, ale i chłopcy... Nic, ino wodę noś i noś, a potém sprzątaj i sprzątaj... Dalibóg, że nieraz rąców nie czuję... Człowiek tylko zdrowie traci za tych marnych dziesięć rubli na kwartał.

— Ależ to nie może być!... Chyba, że się tu już kąpać nie będzie, skoro mi ten pokój oddali.

— Ale gdzie zaś!... Przecie stara bez to powiesiła tę firankę... A jakże, mówiła, że ta firanka bez to jest, co on się tu będzie kąpał... A jeszcze wczoraj mówiła: „pamiętaj, powiada, żeby pryźnic był gotów.” Bo to, widzi pani, ta zatracona szafa, to ona się pryźnic nazywa.

— Gdzież ja się podzieję, gdzież ja się podzieję?

— Ech, to nic!... On tu wlizie do tego pryźnica, i będzie się w nim babrać; pani tego nie będzie widziała, bo tu przecie od tego drzwi są, to on się zamknie... No, a jak będzie wchodzić, albo wychodzić, to się pani może schować za firankę.

— Ja na to nigdy nie pozwolę!... Przecież mi obiecali pokój oddzielny!... Proszę powiedzieć, że ja na to nie pozwalam!

— Gdzie zaś, ot to!... Stary-by mi głowę urwał... Pani nie wie jeszcze, co to za ludzie... Jeśli pani tu nie chce być wtedy, jak on się będzie babrał, to niech się pani prędziuśko ubierze i wyńdzie bez ten czas do kuchni... Ino prędko, bo on tu zaraz przyńdzie... Co ino go nie widać.

Uszom swoim wierzyć nie chciała Stefcia. Pomysł umieszczenia męzkiéj łazienki w pokoju, oddanym obcéj, młodéj panience na mieszkanie, wydawał się jéj czémś tak nieprawdopodobném, że mimo zapewnień kucharki nie przywiązywała wiary do podobnego zamiaru. Mimo to, przestrach ją ogarniał, i strwożona, choć niedowierzająca jeszcze, poczęła się czemprędzéj ubierać.

Nim jednak suknię włożyć zdołała, wszedł ktoś, widocznie ów „on", o którym mówiła kucharka, stąpając ciężko, sapiąc, i wlokąc pantofle po podłodze. Zaskoczona tém nagłém wejściem, nie śmiała się teraz ruszyć biedna dziewczyna. Pełna trwo-

gi, wstydu i oburzenia, wcisnęła twarz w poduszkę, aby głośnym oddechem nie zdradzić swéj obecności.

Tymczasem gospodarował przybysz w jéj pokoju, i zamknąwszy się w łazience, począł swobodnie używać kąpieli, pluskając wodą, parskając i wydając nieludzkie głosy. Położenie Stefci przyczajonéj za firanką, było przykrém i śmiesznem zarazem. Przymierała ze wstydu i rozpaczy, nie śmiejąc się ruszyć i nie mogąc się doczekać końca swéj męki. Wreszcie gość tajemniczy zakończył swoje pluskanie i wyszedł, prychając i sapiąc, z pokoju.

Ubrawszy się czémprędzéj, poszła Stefcia rozmówić się z gospodynią. Miała nadzieję, że ją nakłoni do jakiegoś zarządzenia, któreby ją na przyszłość zabezpieczyło od podobnéj przygody. Czuła się w swojém prawie. Przejąwszy na siebie ciężkie obowiązki w zamian za przyrzeczenie oddzielnego mieszkania, mogła przecież śmiało żądać spokojnego kąta, gdzieby nie była narażoną na tego rodzaju odwiedziny.

— Grymasy! grymasy! — rzekła szorstko gospodyni, gdy jéj nauczycielka wynurzyła swe pragnienie. — Ot, nie wiedziéć co... Przecież pani zobowiązała się zastosować do domowego porządku... U nas taki zwyczaj... Mój mąż musi się kąpać, bo mu to przepisali doktorowie.

— Ależ ja nie mam nic przeciwko temu — odparła Stefcia, ubawiona rozumowaniem swéj gospo-

dyni. — Tylko niech pani zechce zrozumieć, że nie sposób żebym mieszkała tam, gdzie się ktoś kąpie.

— To niech się pani schowa za firankę... Przecieżem własnemi rękami przybiła firankę... Ja pani innego pokoju dać nie mogę... Widzi pani przecież, jaki rozkład mieszkania.

— Niech pani każe wynieść łazienkę gdzieindziéj — tłómaczyła Stefcia łagodnie.

— Gdzie?

— Czy ja wiem, może do kuchni?

— Także!... co!... w kuchni niéma miejsca... Prysznic zostanie tam, gdzie jest... Nie myślę znosić niczyich grymasów.

— Ależ pani mi przyrzekła oddzielne mieszkanie.

— Toż pani masz oddzielne mieszkanie za firanką... Zawiesiłam ją przecie własnemi rękami... Tam nikt pani nie będzie zaglądał.

— Jednak, proszę pani, chociażby nawet i za firanką, nie mogę znieść męzkiéj łazienki w pokoju, gdzie mieszkam — odparła nieco ostrym tonem Stefcia, która się już zaczynała niecierpliwić.

— Męzkiéj łazienki?... Proszę ja kogo, co to za grymasy!... Któż się tam kąpie?... Mój mąż!... Przecież to nie jest żaden kawaler, tylko mój mąż... Cóż pani chcesz, żebym pani dała jakieś salony za tę godzinkę francuzkiego, bo przecież nauka czytania i pisania nie jest żadną filozofią.

— Ja niczego więcéj nie wymagam, prócz spokojnego kąta, gdziebym była u siebie.

— U siebie? — zawołała, indycząc się gospodyni. — Niech pani sobie kupi kamienicę, to pani będzie u siebie... Teraz jesteś pani u mnie, nie u siebie.

— Widzę, że mnie pani nie chce zrozumiéć, a sprzeczać się nie myślę wcale... Aby więc skończyć tę przykrą rozmowę, muszę pani oświadczyć, że w tych warunkach nie zostanę ani jednego dnia.

— I owszem, i owszem — odparła, ściskając ramionami zaperzona gospodyni. — Tylkom zobaczyła te strzyżone włosy, tom sobie zaraz pomyślała: fiu, fiu!... Cóż to? czyż pani myśli, że będę płakać?... Ho, ho, moja pani, albo to mało takich, co szukają miejsca?... Potrzebuję tylko rękę wyciągnąć, to do każdego palca dziesięć się uczepi.

Nie wiedząc sama, czy śmiać się, czy téż gniewać, ukłoniła się Stefcia rozindyczonéj gospodyni i wyszła, nie rzekłszy słówka, do swego pokoiku. Tam z pośpiechem spakowała rzeczy i, przywoławszy dorożkę, powróciła do swego dawnego gniazdeczka.

XII.

Dziwna ta przygoda ubawiła więcéj, aniżeli rozstroiła naszą przyjaciółkę. Nie mogła bez śmiechu myśléć o minionych nieprzyjemnościach. Co chwila przypominało się jéj swobodne zachowanie gospodarza, kąpiącego się w jéj pokoju, oraz naiwność gospodyni, uważającéj, iż rzecz ta była całkiem w porządku i nie mogła być inaczéj. Trzeba było nieszczęścia, aby trafić na podobnych dziwolągów!

Wszelakoż przygoda ta była połączoną z zawodem, a zawód ten pokrzyżował plany biednego dziewczęcia. Nie mogła już teraz myśléć o odesłaniu mapy do Worochtowa. Pozostając nadal w dotychczasowém mieszkanku, trzeba było zapłacić komorne i zapewnić sobie wikt do końca miesiąca.

Nie mogła się ogałacać z pieniędzy, nie wiedząc, co ją czeka. Może się jéj uda znaleźć *demi-place* u jakich bardziéj wyrozumiałych ludzi—a może się trafi jakaś towarzyszka, potrzebująca mieszkania. Połą-

czywszy siły, łatwiéj już będzie zapłacić komorne i opędzić koszta utrzymania. Wtedy będzie mogła pomyśléć o zapłaceniu długu; na razie musi pchać biedę daléj, wyczekując pomyślniejszéj doli.

Głównym punktem oparcia jéj planów na przyszłość, był spodziewany dochód z tłómaczeń. Zamierzała nie poprzestać na tém, co jéj przyobiecano, lecz szukać więcéj jeszcze na tém polu zajęcia. Niepokoiło ją téż wielce milczenie redakcyi, która jéj prace przyrzekła. Biła się z myślami, czyby nie należało przypomnieć się, ale nie miała odwagi. Obawiała się, by życzliwego redaktora nie zniechęcić zbytnio natręctwem. Czekała więc, dręczona niepewnością, odkładając z dnia na dzień przypomnienie zalegającéj sprawy.

Tymczasem odwiedzała inne pisma, ofiarując wszędzie swoje „Nowele". Po tém, co jéj powiedział redaktor, nie spodziewała się ich nigdzie już umieścić, ale miała nadzieję, że nie tu, to tam przypatrzą się jéj pracy, i że na téj podstawie uda się jéj znaleźć zajęcie, tak, jak się to jéj raz już udało.

Wreszcie przyniesiono jéj z redakcyi książkę, którą miała tłómaczyć, z prośbą, aby jak najśpieszniéj zaczęła robotę Uradowana, zabrała się natychmiast do czytania. Chciała zapoznać się z autorem, zanim przystąpi do tłómaczenia jego utworu.

Czytała z wielkiém zajęciem, zdziwiona niezwy-

kłym stylem i zwrotami, których dotychczas nigdy nie spotykała. Niebawem jednak ogarnął ją niepokój. Była to powieść naturalistyczna, osnuta na tle obyczajów malarskiego świata, pełna drobiazgowych opisów, nastroszonych nieznanemi jéj technicznemi wyrazami. Przykre na niéj robiło wrażenie brutalne prostactwo, cechujące rozmowy prowadzone w niezrozumiałéj warsztatowéj gwarze; obrazy pełne bezwstydnéj nagości i lubieżne sceny budziły jéj dziewiczą płochliwość i napełniały ją niesmakiem.

— Boże, Boże! jakże ja to mam tłómaczyć! — wołała co chwila, wahając się pomiędzy chęcią zarobku a wstrętem, który ją coraz bardziéj ogarniał.

Czas jakiś sądziła, że w przekładzie osłonić zdoła te nagości, lub téż pominąć zbyt jaskrawe sceny. Wkrótce jednak przekonała się, że to niemożebne; powieść cała trzymaną była w tym samym tonie, a po za tém, co ją raziło, nie było tam właściwie żadnéj treści.

— Nie, to być nie może! — zawołała. — Chyba redaktor nie wié, co mi dał... Przecież to niepodobna... Muszę zwrócić na to jego uwagę...

Próbowała pisać, ale jéj nie szło; pisząc, trzeba się było przyznać do tego, iż powieść tę czytała, a wyznanie to upokorzało ją wielce. Nie wiedziała sama co począć, a jednak należało coś zrobić koniecznie. Zdawało się jéj, że ustnie będzie mogła

lepiéj załatwić tę sprawę, unikając drażliwych wynurzeń. Owinąwszy tedy książkę papierem i owiązawszy ją sznureczkiem, pobiegła do redakcyi pełna niepokoju. Potrzeba zarobku zmuszała ją do tego niemiłego kroku.

Redaktor przyjął ją z większą, niż poprzednio uprzejmością, pomnażając tylko grzecznością swą przygnębiające ją zakłopotanie. Nie wiedziała, od czego zacząć i jak wytłómaczyć swe odwiedziny.

— Czy pan czytał tę powieść? — zapytała wreszcie, rumieniąc się wstydliwie.

— A jakże! — odparł z uprzejmym uśmiechem. — A pani czytała?

Zdrętwiała. Nie spodziewała się téj odpowiedzi. Wstyd i oburzenie ogarnęły ją jednocześnie.

— Jakto? więc on czytał, i śmie mi to dać do tłómaczenia?... Za kogoż on mnie ma? — pomyślała z gniewem.

— Nieprawdaż, jakie to znakomite? — ciągnął daléj z zapałem redaktor. — Co za charakterystyka, jakie obrazy, jaka prawda!... Świetnę ma tu pani pole do popisu.

— Ja tego tłómaczyć nie mogę! — rzekła, bamując się, Stefcia.

— Dla czego? — odpowiedział dobrotliwie. — Czy to takie trudne?... Może pani pożyczyć słownika?

— Dziękuję — odparła głosem, który dławiło

oburzenie. — Mam słownik Larousse'a w domu... Gotowa jestem tłómaczyć... jeżeli mi pan da co innego.

— Ależ dzieciństwo, dzieciństwo!... Niechże mi pani zawodu nie robi... Umyślnie z Paryża książkę tę sprowadziłem dla pani... Ogłosiłem już przekład w mojém piśmie.

— Ja jéj nie mogę tłómaczyć.

— Czemu?

— Jeżeli pan ją czytał, to pan zrozumié — rzekła, spuszczając oczy. — Może mi pan zechce dać co innego — dodała, udręczona tą drażliwą rozmową.

— Nie mam nic innego i miéć nie będę... Powieść znakomita... Publiczność właśnie takich chce... Nie mogę jéj przecie karmić cielęcym rosołem... Nie mogę jéj dawać takich pensyonarskich noweli, jak te, które pani tłómaczyła... Takich rzeczy drukować nie zechce dziś już żaden wydawca... Każdy chwyta to, co sobie zdobyło rozgłos za granicą... No, a to, co sobie rozgłos zdobywa, jest nieraz pieprzniejszém jeszcze.

— W takim razie, z bólem serca nie mogę przyjąć téj roboty! — rzekła, powstając Stefcia.

— Ależ przesądy, droga pani, przesądy! — zawołał, przytrzymując ją za rękę. — Niechże pani raczy usiąść chwileczkę... Przecież sztuka nie zna i znać nie może pruderyi. Głównym warunkiem pię-

kna jest prawda, która nie zna fałszywego wstydu, będącego tylko wynikiem naszych skrzywionych pojęć, naszego konwencyonalizmu i zacofania... Otóż to nasze kobiety; mówią o wyzwoleniu, o równouprawnieniu, o postępie—a kiedy przyjdzie pracować w tym kierunku, bądź zdrów, niéma nikogo!

I wykładał jéj daléj swe teorye, starając się uśpić jéj skrupuły. Przytaczał przykłady francuskich autorek, które się już wyzwoliły z pęt konwencyonalizmu i kroczą na równi z drugą połową ludzkości na drodze ku prawdzie i coraz doskonalszemu postępowi. Tłómaczył, że to, co ją przeraża, jest owszem zaszczytną pracą, mającą na celu przeobrażenie spaczonych pojęć, usunięcie zastarzałych przesądów i pogodzenie człowieka z logiką i szczerością przyrody.

Stefcia słuchała, nie słysząc go wcale. Z pod nóg usuwała się jéj teraz jedyna deska ratunku. Zdawało się jéj, że ją okrążają fale jakieś groźnéj powodzi. Ocalić mogła ją od zguby ta jedna droga, którą jéj wskazywał, a jednak czuła, że nie może, że nie powinna usłuchać jego namowy. Przekonanie to umacniało się coraz bardziéj w jéj umyśle.

— Nie, stanowczo nie! — zawołała w końcu, ocknąwszy się ze swego przygnębienia. — Roboty téj podjąć się nie mogę żadną miarą... Jeżeli pan nie ma innéj dla mnie pracy...

— Nie! nie mam, nie mam i mieć nie będę! — odparł szorstko zniecierpliwiony.

— W takim razie żegnam pana.

I, zostawiwszy mu przyniesioną książkę, wyszła z sercem, przepełnioném żałością.

— Koza! — mruknął za nią redaktor.

— Co robić teraz? co robić? — pomyślała, znalazłszy się na ulicy. Znękana, poszła się poskarżyć Zosi; — niepowodzenia introligatorki zacisnęły były silniéj jeszcze przyjazny węzeł, który je łączył. Stefcia znajdowała pociechę w serdecznéj życzliwości przyjaciółki, na któréj przywiązaniu mogła polegać. Poszła więc do niéj, aby jéj zwierzyć smutki swe i obawy, sądząc, że się przy jéj boku pokrzepi na duchu i zaczerpnie otuchy.

Ale Zosia miała dla niéj jedną tylko radę. Poznała już była usposobienie swéj egzaltowanéj przyjaciółki, i wiedziała, że mimo licznych swych zalet, a właściwie głównie z ich przyczyny, nie zdoła pokonać trudności swego położenia. Gdyby była mniéj dumną, mniéj płochliwą, mniéj upartą, gdyby się umiała naginać do okoliczności, ustępować ludziom, i wchodzić w ugodę z własnemi przekonaniami, łatwiéjby może zdołała utrzymać się na powierzchni zwodniczych fal warszawskiego życia. W obecnych wszakże warunkach, bez funduszów, bez znajomych, bez protekcyi, a nadewszystko bez owéj giętkości,

która w świecie jedna powodzenie, była z góry już skazaną na zagładę.

Zdaniem tedy Zosi, powinna była Stefcia wrócić do domu, unikając dalszéj walki i połączonych z nią zawodów. Była to niezawodnie równie serdeczna, jak i roztropna rada, mimo to nie trafiła do przekonania upartéj dziewczyny. Myśl, iż powróciwszy do domu, musiałaby się przyznać do swych niepowodzeń, które przewidzieli i przepowiedzieli rodzice, podtrzymywała jéj słabnącą odwagę. Za nic w świecie nie zniosłaby tego upokorzenia. Woli cierpieć i walczyć daléj. Nie sposób przecie, aby wytrwałość jéj nie wydała pomyślnych owoców.

Jednakże czas naglił, pieniądze płynęły i trzeba było jak najspieszniéj szukać zarobku. Stefcia zamieściła ogłoszenie w *Kurjerze*, i poczęła pilnie wczytywać się w ostatnią jego stronicę, gotowa przyjąć pierwsze lepsze trafiające się miejsce, byleby jéj zapewniało kąt spokojny i kawałek chleba.

Ogłaszanych posad było co niemiara. Tam poszukiwano nauczycielki, owdzie zarządczyni domu, tam znowu panny sklepowéj lub kasyerki. Stefcia, zapisując sobie adresy, biegała od domu do domu i ofiarowywała swe usługi. Nie wiodło się jéj wszakże. W jedném miejscu żądano świadectw, kaucyi lub rekomendacyi,—gdzieindziéj potrzebném było jakieś fachowe wykształcenie, którego nie miała; — gdzieindziéj znowu wiek jéj stał na przeszko-

dzie... Oświadczano, iż jest za młodą i nie może mieć potrzebnego doświadczenia.

Sądziła, iż rzemiosło, którego się wyuczyła, chleb jéj dać powinno. Ofiarowała więc swą pracę w introligatorskich zakładach, ale i tu spotykały ją niepowodzenia. Niedowierzano jéj zręczności i sile;—w niektórych pracowniach nie było miejsca dla kobiety, w innych znowu ofiarowano jéj tak śmiesznie małą zapłatę, iż przyjąć zatrudnienia pod temi warunkami nie było sposobu.

Krzątanie się to miało jednak tę dobrą stronę, iż ją odurzało i nie dozwalało jéj zagłębiać się w czarnych myślach. Co chwila innéj chwytała się nadziei; — codziennie zasypiała z myślą: jutro, jutro! Tymczasem to jutro było znowu dniem bezowocnéj bieganiny, dniem upokorzeń i zawodów. Tak upłynęło znowu dziesięć dni; — wreszcie doręczono jéj w kantorze *Kurjera* odpowiedź na jéj ogłoszenie:

„Jeżeli cierpliwość jest, to można znaleźć korzystne i nieutrudzające zajęcie w czasie godzin porannych. Potrzeba tylko dobréj woli i cierpliwości."

Niżéj był podany adres korespondenta i pora, w któréj zgłosić się należy.

Zagadkowy ton téj odpowiedzi zaintrygował pannę Stefanię. Jakie to może być zajęcie, i dla czego ten nacisk szczególny położony na potrzebę cierpliwości?

Pełna oczekiwania udała się więc za udzieloną

w odpowiedzi wskazówką. Odszukała w ciemnym korytarzu z trudnością numer mieszkania i pociągnęła drżącą ręką za dzwonek. Drzwi otworzył mężczyzna jakiś, którego w cieniu nie mogła bliżéj rozpoznać.

— Czy tutaj ma się zgłosić osoba, szukająca zajęcia, dla któréj w kantorze *Kurjera* złożono wezwanie pod adresem S. J.? — zapytała nieśmiało.

— Tu, tu!... Proszę pani daléj! — odparł mężczyzna skwapliwie. I otworzywszy drzwi, wpuścił ją do przyległego pokoju.

Był to salon obszerny o dużém, weneckiém, do połowy przysłonioném oknie, którego światło, pozostawiając w cieniu głąb całą, jaskrawo oświecało umieszczoną na środku stalugę, i zawieszony na niéj obraz rozpoczęty. Opodal od stalugi stała lalka, osłonięta kosztowną jakąś draperyą, daléj kilka gipsowych posągów, odtwarzających starożytne arcydzieła. Na ścianach wisiały liczne studya i zlekka podmalowane szkice. Na podłodze leżały w nieładzie kartony, słoiki, flaszki, broń starożytna i kawałki drogocennych materyj, na stołku obok stalugi paleta i kilkanaście pędzli, porzuconych niedbale.

Stefcia odgadła, iż znajduje się w pracowni malarza. Na myśl jéj przyszła powieść, którą czytała niedawno, i umysł jéj ogarnął przykry niepokój.

— Czy mogę się dowiedzieć, jakie to zajęcie? — spytała zaktopotana.

— Niechże pani raczy spocząć — rzekł malarz uprzejmie, przysuwając jéj fotel o wspaniałéj, rzeźbionéj poręczy. — To tak wysoko, tyle schodów, prawdziwa męka dostać się na trzecie piętro !... Ale cóż robić; nie sposób w Warszawie znaleźć pracowni z dobrém światłem... Trzeba było brać, co się zdarzyło... Niechże pani raczy usiąść — dodał, wpatrując się w nią iskrzącemi oczyma.

Uczuła niepokój. Serce jéj ściskał dziwny lęk, jak gdyby nieokreślone uczucie jakiegoś niebezpieczeństwa.

— Jakież .to zajęcie? — spytała, rumieniąc się wstydliwie.

— Zaraz, proszę pani, zaraz! — odparł skwapliwie. — Potrzeba trochę cierpliwości... Panie w Warszawie są takie niecierpliwe, a niecierpliwość ta odbija się głównie na nas, malarzach... Miasto półmilionowe, kobiet piękniejszych mnóstwo, tylko wybierać... Zdawałoby się, że tu raj dla sztuki... Cóż, kiedy dla niéj niéma zrozumienia?... W Wiedniu, w Monachium, w Paryżu, kobiety z najwyższych sfer najchętniéj pozują artyście... Mój Boże! same się nieraz chętnie ofiarują, jako modelki...

— Przepraszam pana — przerwała Stefcia, obawiając się dalszych wynurzeń. — Zdaje się, że to nie odnosi się do zajęcia, które ma być mi powierzoném?

Spojrzał na nią stropiony.

— To jest... nie... bynajmniéj — jąkał się zakłopotany. — Zajęcie jest u... moich krewnych, a ja jestem pośrednikiem... Tylko, gdy panią ujrzałem, przyszły mi na myśl własne kłopoty — ciągnął już śmiało daléj. — Potrzebuję gwałtem modelki do zaczętego obrazu i chciałem panią spytać...

Stefcia powstała z fotela cała w płomieniach.

— Ale niechże pani siada, proszę pani!... Chciałem panią spytać, czy pani niema przyjaciółki, któraby zechciała pozować za dobrem wynagrodzeniem?

— Nie, nie mam takich przyjaciółek — odparła oburzona.

— Niechże pani raczy usiąść; pomówimy o interesie!... Ja panią bardzo przepraszam; nie miałem wcale zamiaru obrazić... Chociaż mojem zdaniem, jest to rzecz całkiem prosta... O tém nikt nie potrzebuje wiedzieć — dodał pożerając ją oczyma—ręczę słowem honoru za dyskrecyę.

— Więc proszę pana o adres tych państwa?— przerwała, niecierpliwiąc się Stefcia.

— Jakich państwa?

— Jakto?... Tych, u których mam znaléźć zajęcie.

— A tak adres... prawda, prawda!... Nie, nie potrzeba adresu... Jestem umocowany do zawarcia ugody... Tylko to nie dla pani... to bardzo utrudzające... Trzeba dużo cierpliwości.

— Téj mi nie zabraknie!...

— Ale nie, nie, to nie dla pani!... Nigdybym nie śmiał ofiarować... Zapłata mała; trudu wiele!... Ale gdyby pani zechciała pozować, chętniebym zapłacił... dwadzieścia pięć rubli za posiedzenie.

— To niegodne!—zawołała Stefcia, nie mogąc dłużéj hamować oburzenia.

I, zerwawszy się z fotela, wyszła spiesznym krokiem, nie racząc nawet słuchać tłómaczeń i przeprosin artysty.

XIII.

Nowe to niepowodzenie oddziałało na Stefcię nader przygnębiająco. Zawód, doznany w redakcyi, rozwiał złote jéj marzenia; obecna przygoda onieśmieliła ją i odebrała jéj wiarę we własne siły. Zdawało się jéj, że ją krępują cieżkie jakieś, ołowiane pęta i że ją do ziemi przygniata potężna niewidzialna ręka, któréj oprzéć się nie jest w jéj mocy.

Poodbierawszy rozrzucone po redakcyach tłómaczenia i przekonawszy się znowu, że ich wcale nie czytano, zaniechała dalszych starań o zajęcie. Nie wierzyła już w skuteczność nowych zabiegów i nie miała odwagi narażać się na przygody, podobne do tych, jakie ją dotychczas spotykały. Umysł jéj i ciało opanowała dziwna jakaś ociężałość. Dnie całe spędzała samotnie w domu, leżąc na swéj pościółce, w smutnéj pogrążona zadumie.

Przypominała sobie ów zapał, z jakim się rok temu rzuciła w wir świata i walkę o byt, nie wątpiąc,

iż męztwem i wytrwałością dojdzie do celu, — przypominała sny tęczowe, któremi się kołysała, i trud swój daremny, i bezowocne umartwienia. Serce jéj spływało goryczą i boleśne znękanie napełniało ją bezmiernym żalem do świata i ludzi.

Oto więc jest ta Warszawa, do któréj tęskniła niegdyś tak gorąco, widząc w niéj ognisko światła i postępu. Oto jest ta swoboda, któréj pragnęła, wierząc silnie, iż ją kupić można odwagą, wytrwałością i pracą. Teraz wie, jakiéj zapłaty żąda świat od kobiety w zamian za niezależność. Czarne te myśli opanowały ją coraz bardziéj, rozstrajając nerwy i krusząc hart jéj męztwa.

Przed okiem Zosi nie ukryła się zmiana, jaka zaszła w usposobieniu jéj przyjaciółki. Starała się ją znowu nakłonić do wyjazdu z Warszawy i powrotu w rodzinne strony, ale daremnie. Znękanie, które ogarnęło Stefcię, skruszyło odwagę jéj i energię, ale nie złamało uporu. Przekonawszy się o bezowocności swych usiłowań, zaniechała blondynka dalszéj namowy, dążąc już teraz jedynie do tego, by znękaną dziewczynę podźwignąć z odrętwienia, w jakie popadła, i pobudzić do działania.

Usposobienie przyjaciółki dręczyło ją i przerażało zarazem. Stefcia goniła już ostatkami pieniędzy i z dniem każdym wzrastała niepewność dalszego bytu. Mimo to, nie przedsiębrała żadnego kroku w celu wydobycia się z rozpaczliwego położenia,

w jakiem się znajdowała. Owszem, zdawało się, że w miarę wzrastającego niebezpieczeństwa rośnie jéj obojętność. Blondynka zrozumiała, że chcąc jéj pomódz musi się nią zaopiekować, jak dzieckiem...

Poczęła tedy szukać pilnie w ogłoszeniach i wypytywać się w kółku swych znajomych o zajęcie dla przyjaciółki. Niestety, niepodobna było znaléźć nic odpowiedniego. Zosia, mając na uwadze znękanie Stefci, nie wspominała o tém przed nią. Starała się wpierw o wszystkiem wywiedzieć dokładnie; chciała wystąpić z gotową już rzeczą, aby jéj oszczędzić przykrości zawodu.

Wreszcie udało się facetce znaléźć coś, z czego nie potrzebowala czynić tajemnicy. W pewnym hotelu poszukiwano „osoby porządnéj do rachunków pod korzystnemi bardzo warunkami." Właścicielka zakładu, w którym pracowała Zosia, zwróciła jéj uwagę na to ogłoszenie, ofiarując się sama dać Stefci, którą znała i lubiła, list polecający, a nawet i poręczyć za nią, gdyby tego wymagała potrzeba.

Zabrawszy tedy przyjaciółkę swą z sobą, udała się Zosia do hotelu. Powiedziano jéj, że zgłosić się należy do zarządzającéj bielizną. Była to osoba średnich lat, trochę pospolita, trochę rubaszna, ale z tém wszystkiem posiadająca w obejściu jakąś serdeczną dobroduszność, która się podobała dziewczętom. Przeczytawszy mozolnie list, który jéj oddała Stefcia, i dowiedziawszy się, że to ona szuka zajęcia

jęła się, jéj przypatrywać ciekawie i z nieudaną życzliwością.

— A no, dobrze, dobrze! — zawołała, uśmiechając się uprzejmie. — Bardzo mnie cieszy, żem znalazła taką godną osobę... I córka moja także się ucieszy; bo to, widzi pani, u nas to tak, jak kto w domu jest, to już tak, jakby swój, jakby należał do rodziny... A zwłaszcza już taka godna osoba.

— Bardzo pani dziękuję — rzekła Stefcia z uprzejmym uśmiechem.

— No, no, już się pani przekona, gdzie pani jest... Zajęcia, Bogu dzięki, dosyć, ale nie przykre... My same prowadzimy z córką wszystko; chodzi tylko o to, aby nam pomagać.

I wykładała jéj daléj swe warunki, gawędząc życzliwie i odbiegając co chwila od przedmiotu. Zajęcie polegało na odbieraniu od numerowych brudnéj pościeli i bielizny pod rachunkiem, przeglądaniu, czy gdzie nie potrzeba naprawy, i wydawaniu w pralni potrzebnych zarządzeń.

Stefcia słuchała słów jéj ze ściśniętém sercem. Nie takiego spodziewała się losu, jadąc do Warszawy. W uszach jéj zabrzmiał zagniewany głos ojca: „panna Jarzymowska praczką, panna Jarzymowska szwaczką", i pierś jéj wezbrała żałością.

— To wcale nie przykra robota i nikomu nie ubliża — rzekła dobrotliwie gospodyni, patrząc jéj w oczy ze współczuciem. — Przecież moja córka

skończyła także pensyę i nawet gra na fortepianie... Ho, ho, czy to mało mnie kosztowała jéj edukacya!... No, a proszę pani, wcale się nie wstydzi mi pomagać... A jakże, cały dzień nadzoruje praczki i prasowaczki, i wcale się tego nie wstydzi... tak, tak!

— I ja się także nie wstydzę roboty — rzekła Stefcia ze smutnym uśmiechem.

— Bo to niema co, proszę pani, niema co — przerwała wygadana gospodyni. — Ktoby się wstydził pracy dla uczciwego zarobku?... Chyba tam jaka marmuzella, co u niéj w głowie tylko sieczka... Ale dzisiaj czasy są ciężkie i trzeba koniecznie pracować... Mało to ja się narobię, ho ho!... Nieraz i nóg nie czuję, bo wszystkiego sama doglądam... Tylko, że teraz, jak pani będzie, będę się mogła przynajmniéj wyręczyć... O, z pewnością!... Jakem tylko panią zobaczyła, to mi się pani zaraz podobała... Nie trza nawet i listu; z oczu zaraz widać, co kto jest.

— Bardzo pani wdzięczna jestem — rzekła Stefcia uśmiechając się uprzejmie.

— No, no, będzie pani wiedziéć, że pani u mnie krzywdy nie znajdzie... Ja tam prawdę mówiąc, trochę prędka jestem, a jakże!... Czasem trochę krzyknę, trochę fuknę, ale krzywdy nikomu nie zrobię... I moja córka także... Zobaczy pani, jaka ona wykształcona, ho ho!... Edukowana, proszę pani; a jakże, edukowana!... Przecież mówi po francusku — do-

dała kiwając głową. — Jak ją pani pozna, to ją pani pokocha.

— No, a jakież będzie wynagrodzenie? — zapytała się Zosia, któréj chodziło o spieszne zakończenie interesu.

— A prawda, wynagrodzenie! — odparła uśmiechając się dobrodusznie. — Zagadałam się i zapomniałam o tém powiedzieć, a to przecież najważniejsze... Widzi pani, to tak: dam pani bardzo ładny, osobny pokoik... To właściwie kuchenka, ale można firanką zasłonić... Ciepło, jak w uchu, ale broń Boże szyber zasuwać... Zobaczy pani: jaż bym przecie nie ofiarowała nic złego, bo widzę, kto pani jest.

— Teraz znowu życie — ciągnęła daléj — takie, jak u nas w domu... Ho ho, niech się pani krzywdy nie obawia; my sobie tu dobrze żyjemy... Będzie zrana herbatka, potém drugie śniadanie, obiadek i kołacya... No, a jakby się pani jeszcze zachciało jeść, to nikt nie będzie bronił; może pani pójść do szafy, ile razy pani zechce... Jaż przecie wiem, że jak kto pracuje, to jeść musi.

— A zapłata? — spytała znowu Zosia.

— Sześć rubli na miesiąc... Pierwéj płaciłam pięć, ale dla takiéj godnéj osoby chętnie rubelka postąpię.

— Może to będzie mało proszę pani — zauważyła blondynka.

— Mało? — zawołała ze zdziwieniem gospodyni.

— Przyjaciółka moja nie potrzebuje tak welie jeść — ciągnęła daléj, śmiejąc się Zosia. — Pracy będzie, jak widzę, dużo, trudu od świtu do nocy dosyć, nieprawdaż?

— No, tak... Jest Bogu dzięki robota.

— A zapłaty za taką pracę za mało.

— Co pani mówi, co pani mówi? — zawołała skwapliwie gospodyni.—Pani nie wie, jakie to miejsce... Innaby sobie jeszcze kazała dopłacić, ale ja nie chcę krzywdy niczyjéj... Czy pani wie, że ta, która u mnie była przed rokiem, zebrała sobie w przeciągu trzech lat parę tysięcy posagu?... A jakże, i wyszła za numerowego... tak, tak!... Wyjechali gdzieś na prowincyę i wzieli hotel w dzierżawę... Słyszę nawet, że im się dobrze powodzi... Przecież to, proszę pani, z rachunkami się chodzi do gości — dodała tonem takim, jak gdyby to, co mówiła, było jasném i niedopuszczało wątpienia.

— Nie rozumiem — odparła Stefcia.

— No, jakże; przecież to się samo z siebie rozumie — rzekła, uśmiechając się frantowato.—Wszakże przy zapłacie rachunku, goście zawsze coś dają na szpilki... A zwłaszcza już taka przyjemna osoba, jak pani... Tu pani mrugnie, tam znowu pożartuje troszkę; no, i zaraz rubelek, dwa, trzy... Mój Boże, czy to pani nie wie, jacy to są mężczyzni?

Stefcia rzuciła na Zosię smutne spojrzenie. Słowa gospodyni boleśnie dotknęły dumną dziewczynę. Na

myśl jéj przyszło, jak łatwo mogłaby tu spotkać kogo z poleskich znajomych.

— Czy to koniecznie trzeba chodzić z rachunkami do gości? — spytała zarumieniona.

Gospodyni spojrzała na nią zdziwionemi oczyma.

— No, jakże pani chce?... Przecież o to głównie chodzi... Któż będzie ściągał zapłatę?... Zresztą, może pani to zostawić numerowym... Ale w każdym razie pani mi będzie odpowiedzialną i szkoda dochodów, a ja więcéj płacić nie mogę, jak sześć rubli.

Uspokojona tém zapewnieniem, a zachęcona uprzejmością gospodyni, któréj to niezmiernie pochlebiało, iż „obywatelska córka" wchodzi do jéj domu, przyjęła Stefcia to skromne zajęcie. W trudném położeniu, w jakiém się znajdowała, należało skwapliwie chwytać wszystko, co los dawał, a pracy, któréj od niéj żądano, nie wstydziła się wcale. Miała teraz dach nad głową, i zapewniony kawałek chleba; w tych warunkach było to dla niéj prawdziwém dobrodziejstwem. Zresztą, gdyby się z czasem trafiło coś lepszego, będzie mogła wybrać odpowiedniejsze zajęcie.

Zniósłszy tedy skromny swój dobytek, a sprzedawszy niepotrzebne jéj teraz rupiecia, zamieszkała Stefcia w hotelu. Roboty nie brakło, i to było właśnie szczęściem dla niéj. Ten gwar, zgiełk, ruch ustawiczny, upajały ją i nie pozwalały poddawać się czarnym myślom. Było to najlepsze lekarstwo dla tego

ruchliwego, a doznanemi przeciwnościami skołatanego umysłu.

Gospodyni i córka jéj były nader zadowolone z nowéj pomocnicy. Stefcia pracowała pilnie, z ochotą. Nie widać było po niéj śladów niedawnego znękania; Zosia nawet dała się złudzić tym pozorom, i sądziła, iż przyjaciółka jéj odzyskała dawną pogodę umysłu. A jednak biedne dziewczę tęskniło, starając się napróżno odurzyć ręczną pracą. Nie była w stanie nakazać sercu milczenia. Przypomniał jéj się miniony sen o szczęściu, od którego ziszczenia coraz bardziéj oddalała ją ręka nieprzyjaznego losu, a myśli te napełniały ją żałością.

Tak upłynęło kilka tygodni bez ważniejszego zdarzenia. Raz tylko jeden ogarnął ją chwilowy niepokój. Mając do czynienia na jedném z piętr hotelu, gdzie z powodu opieszałości numerowéj zaszły jakieś nieporządki, spotkała Stefcia poleskich swych sąsiadów. Poznała ich zdaleka: byli to Grzybowscy, rodzice owéj Wandzi, która napróżno starała się wdziękami swemi usidlić pana Maryana. Stefcia wiedziała, iż są dla niéj źle usposobieni, a skorzy do obmowy.

Pragnąc uniknąć tego spotkania, cofnęła się tedy szybko do pokoju numerowéj. Nie donosiła jeszcze rodzicom o teraźniejszém swém zajęciu; znała zapatrywania ojca, i obawiała się prawdę mu powiedzieć. Jakżeby przyjął wiadomość tę obecnie, przyniesioną

mu przez obce osoby, a więc przedstawioną w świetle fałszywém?

Stefcia pocieszała się myślą, że dzięki szybkiemu odwrotowi uniknęła szczęśliwie tego niebezpieczeństwa. Niebawem jednak przekonała się, iż była w błędzie. W dziesięć dni po tém zdarzeniu oddano jéj list ojca, pełen gniewu i wyrzutów. Poznano ją, starano się wybadać, co w hotelu porabia, i osnuto na tém tle potworną bajkę. Złe języki obnosiły teraz potwarz tę po sąsiedztwie, rade, iż mogą obrzucić błotem nielubianą „apostołkę".

Stary Jarzymowski, uprzedzony do córki, uwierzył téj baśni. W jego oczach niedawny list Stefci stanowił najoczywistszy dowód jéj upadku. „Nie wspomniała o teraźniejszém swém zatrudnieniu; taiła przed rodzicami, co robi, bo nie chciała się przyznać do swéj hańby". Przekonany o winie córki wyrzucał jéj, iż przyniosła zakałę rodzinie, wyrzekał się jéj i odtrącał od serca swego wyrodną.

Jak grom uderzył w Stefcię cios ten okropny. Dotknięta w dumie swéj tak boleśnie, szalała biedna dziewczyna. Chciała pisać do rodziców, ale czyżby to pomogło? Czy zechcą uwierzyć jéj niewinności, dawszy raz wiarę niecnéj potwarzy—oni, którzy przecież winni byli pierwsi stanąć w jéj obronie. Oburzała ją niesprawiedliwość i bezmiłośna srogość ojca; ból i rozpacz napełniały ją obrzydzeniem do życia.

— Wartoż daléj toczyć walkę beznadziejną o ten nędzny kawałek chleba! myślała z goryczą — Wartoż się kłopotać i męczyć na to jedynie, aby żyć w tym świecie, tak pełnym zdrad; aby patrzéć na tych ludzi, tak złych i nikczemnych?... I jakaż korzyść ztąd, choćby mi się nawet udało wywalczyć byt samoistny i swobodę?... Oto zerwały się już wszystkie węzły, które mnie łączyły z rodziną... Uwierzyli tak chętnie potwarzy niecnéj, a on?... I dla czegoż jéj nie miał uwierzyć on także?... Och! nie, nie dla mnie szczęście, nie dla mnie!... Zbyt dumną jestem, by się tłómaczyć... Przyszłość moja, to szare pasmo dni bez słońca, bez uśmiechu... to los więźnia, skazanego na to, by włóczył za sobą ciężkie brzemię niezasłużonéj hańby i niedoli... Życie jest obowiązkiem, powiadają... a jeżeli to ciężar nad siły?... Nie można przecież słusznie potępić tego, który z ramion swych zrzuci nienawistne brzemię, co go przygniata.

Czarne te myśli opanowywały ją coraz bardziéj, rozstrajając i wsączając w serce jéj jad beznadziejnéj rozpaczy.

XIV.

Napróżno starały się pocieszyć zrozpaczoną nowe jéj przyjaciółki. Oburzała je potwarz, któréj ofiarą padła Stefcia, tudzież niezrozumiała dla nich srogość jéj ojca. Nie domyślając się, jak głęboką była jéj rana, nalegały na nią, by szukała rozrywki. Stefcia opierała się temu z początku, wreszcie usłuchała rady gospodyni i poszła odwiedzić Zosię, któréj serdeczna życzliwość była jedyną teraz dla niéj pociechą.

Dzień był chłodny, ale jasny i pogodny. Powozy i dorożki uwijały się po mieście, chodniki mrowiły tłumem przechodniów; — wszystko to spieszyło do jakiegoś zajęcia, wszystko to kwapiło się, dążąc do jakiegoś celu. Przypatrywała się twarzom tych ludzi, ożywionym nadzieją; serce jéj napełniało się goryczą. Jéj tylko jednéj nic nie wiąże do życia, dla niéj jednéj pośród téj ciżby niema przyszłość żadnego uśmiechu. Ze smutkiem porównywała się

do zwiędłych tych liści, oderwanych od gałęzi, któremi igrał wiatr swawolny, włócząc je po ziemi.

Z téj smutnéj zadumy zbudził ją ukłon stojącego na ulicy posłańca. Zwróciła oczy w tę stronę i przystanęła zdziwiona. Twarz tego człowieka wydawała jéj się znajomą. Widziała go gdzieś, ale jakby innego, jak gdyby w szczęśliwszych jakichś warunkach.

— Pani mnie nie poznaje? — rzekł, przystępując bliżéj ze smutnym uśmiechem.

— Nie, nie mogę sobie przypomnieć.

— Jechaliśmy razem zeszłéj jesieni z Kowla do Warszawy.... Czy pani nie pamięta?

— To pan! — zawołała Stefcia, przypomniawszy sobie swego towarzysza podróży.

Widziała go przed rokiem, pełnego zdrowia, męztwa i nadziei; — obecnie stał przed nią pokorny i wynędzniały, z oczyma, płonącemi gorączkowym ogniem, ze spalonemi ustami, z wypiekami na bladém licu.

— Tak, tak, to ja! — odparł smutnym głosem.— Nieprawdaż, jak to się człowiek zmienia.... Rok temu byłem zdrów, wesół, pełen nadziei, a teraz: ot co — dodał, patrząc po sobie. — Szczęście jeszcze, że się i to znalazło.

— Cóż się stało? — spytała wzruszonym głosem.

— Długo by o tém gadać, proszę pani, a słuchać niema co.... Widziała pani, jak ćmy lecą na świecę

i jak się palą w jéj płomieniach?... Otóż Warszawa, to świeca, a ćmami są ci biedacy, co tak, jak ja, ciągną tu ze wszystkich stron kraju, myśląc, że znajdą zarobek....

Stefcia milczała wzruszona boleśnie. To, co mówił posłaniec, było obrazem jéj własnéj doli. Serce jéj ściskały ból i litość zarazem.

— Zdaleka to wygląda inaczéj! — ciągnął posłaniec daléj z goryczą. — Ci, którzy tego nie widzieli, mówią: Ach, Warszawa, to raj!... byle się tam dostać temu, co chce pracować.... Tam szczęście, tam swoboda, tam dostatki!... I lecą z całego kraju biedacy do Warszawy, tak jak ćmy na świecę, po to jedynie, aby tu z głodu umierać.... A miasto rośnie i rośnie kosztem kraju; wciągając w siebie wszystkie jego soki i niwecząc to, co mogło by istnieć i pożytecznie pracować gdzieindziéj.

— Więc się państwu nic nie udało znaléźć? — spytała ze współczuciem.

— Ot, com znalazł — odparł, wskazując na swe ubranie. — Nie darmo to powiadają: syreni gród!... Ha, ha, Syrena!... Wszystko tu się zaczyna jak piękna kobieta, a kończy zawsze rybim ogonem... Och, oni umieją obiecywać.... A mili, a gładcy, a uprzejmi, tak, że zrazu nie spostrzeżesz rybiego ogona.... Mówili; będziesz pan miał posadę na Nowy Rok, Wielkanoc, na Zielone Świątki.... A no, wytrzymali mię tak, wytrzymali!... A tu jeść się chce,

i znikąd, znikąd ratunku!... Nie było rady.... kraść nie umiem, zabić się nie mam odwagi.... zostałem posłańcem!

Stefcia milczała przygnębiona. I ona także nie dała się zgnieść rozpaczy, i ona także walczyła do końca. Cóż odniosła w zysku? Niesprawiedliwe posądzenia, niezasłużone potępienie rodziców i hańbę.

— No, i jakże się pani powodzi? — spytał po chwili posłaniec.

Ocknęła się z zamyślenia.

— Miałam introligatornię — rzekła zdławionym głosem. — Ale musiałam ją sprzedać.... Próbowałam szczęścia na innych polach, i to mię zawiodło.

— Ach, niech pani nie łudzi się dłużéj — zawołał z goryczą. — Niech pani ucieka z tego przeklętego miasta.... Jeżeli pani tylko może, niech pani ucieka dopóki czas!... Potém, jak się zwali nieszczęście: tu czy tam, to już na jedno wychodzi.... potém, chociażby się do nieba dostać, nie odzyska już człowiek tego co utracił.... Gdzieindziéj może pani jeszcze być szczęśliwą, a tu co?... Wie pani, co tu popłaca?... Protekcya i łapówki.... Dla tych, co tego nie mają, jest tylko Wisła.... Tam już niczego nie potrzeba! — dodał ponuro.

— Posłaniec! — zawołał głos jakiś z poblizkiego sklepu.

Spojrzał niechętnie w tę stronę, potém zwrócił na

nią spojrzenie pełne współczucia. Widocznie przykro mu było przerywać zaczętą rozmowę. Stał, patrząc żałośnie i mieląc ustami, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć. Wreszcie machnął ręką:

— Służba mnie woła — rzekł, ocierając łzę z oka. — Niech pani ucieka, niech pani ucieka — dodał tonem przestrogi.

I uchyliwszy czapki, pobiegł, gdzie go wołano.

— Tam już nic nie potrzeba! — powtórzyła Stefcia snując daléj myśli, które ją naszły w czasie téj rozmowy. Śmierć ją kusiła urokiem niepamięci, nicość ją wabiła obietnicą spokoju. Słowa posłańca wydały się jéj objawieniem. Zrozpaczona, lecz pełna dzikiego jakiegoś męztwa zwróciła kroki ku Zjazdowi....

Nie znała jeszcze téj części Warszawy. Wiedziała tylko, że w téj stronie jest most żelazny, i że pod nim płynie Wisła, na któréj dnie leży spokój i niepamięć....

Niebawem stanęła na moście i zatrzymała się, nie wiedząc, jak przystąpić do wykonania powziętego zamiaru. Zadziwiła ją wysokość baryery i obecność licznych przechodniów, którzy by jéj z pewnością przeszkodzili w tém, co zamierza. Nie spodziewała się, by tak trudną rzeczą było odebrać sobie życie, gdy się śmierci pożąda.

Przeszła wolnym krokiem most cały, szukając odpowiedniego miejsca, ale daremnie. Pomimo spó-

żnionéj pory — było to w grudniu — Wisła nie stanęła jeszcze; pełno było na obydwóch brzegach budek, tratew i berlinek, i roiło się wszędzie od ludzi zajętych robotą.

— Jak oni to robią, ci, którzy się topią? — pomyślała. — Przecież musi być jakiś sposób i czas dogodny!

Zwróciła się więc znowu ku środkowi mostu, sądząc, że zdaleka od brzegu najsnadniéj będzie mogła wykonać zamiar powzięty. Po lewéj stronie płynęła Wisła szeroką wstęgą, odbijając pogodne niebios sklepienie — przed nią leżała Warszawa, tętniąca gwarem olbrzymiego ludzkiego mrowiska.

— Syreni gród! — szepnęła Stefcia z goryczą, powtarzając słowa posłańca.

Doszedłszy do środkowego łuku, stanęła oglądając się wokoło. Pełno było ludzi na chodnikach i nie sposób było uniknąć uwagi przechodniów. Zbliżyła się do balustrady i spojrzała w wodę. Wezbrana skutkiem ulewnych deszczów, rzeka przelewała się mętną powodzią, unosząc na grzbiecie swych brudnych fal i łup zabrany po drodze—jakieś przedmioty dziwnych kształtów i barwy, których Stefcia dokładnie rozpoznać nie mogła. Chwilę stała tak, przypatrując się ze zgrozą i wstrętem temu widokowi. Wiatr mroźny wiał od rzeki, rozwiewając jéj włosy i przejmując ją zimnym dreszczem.

— Nie, nie, nie tutaj! — zawołała przerażona. I spiesznym krokiem powróciła do miasta, jakby uciekając przed własnemi myślami.

Rozgrzawszy się szybkim biegiem i uspokoiwszy siłą woli rozdrażnione nerwy, poszła odwiedzić Zosię. Zdziwiła ją i uradowała temi odwiedzinami, a bardziéj jeszcze swoim spokojem. Od trzech dni, to jest od czasu nadejścia listu z Jarzymówki, żyła blondynka w gorączkowym niepokoju. Znała drażliwość Stefci — myśl więc, że znękana dziewczyna gotowa się posunąć do jakiego rozpacznego kroku, napełniała ją trwogą bezmierną. Nie miała wprawdzie dla niéj pociechy, ale czuła, iż jéj życzliwość może przynieść ulgę cierpiącéj. Byłaby chętnie przy niéj spędzała dnie całe, nie odstępując stroskanéj; ale niestety, nie pozwalały jéj na to obowiązki.

Stefcia uspokoiła jéj obawy. Okazała się spokojną, o ile na to pozwalało jéj położenie. Powiedziała, że, korzystając z chwilowego braku zajęcia i pozwolenia swéj chlebodawczyni, przyszła odwiedzić przyjaciółkę, gdyż to obecnie jedyną dla niéj jest pociechą. Nie miała dosyć słów, by Zosi wyrazić swą wdzięczność za okazaną jéj serdeczną przyjaźń, pieściła ją i całowała namiętnie. Wreszcie, umówiwszy się, iż następnego dnia — była to niedziela właśnie — pójdą razem do teatru, pożegnała uspokojoną i powróciła do domu.

— No, widzi pani, widzi pani, jak to dobrze, że

się pani troszkę przeszła! — zawołała gospodyni, uradowana widokiem jéj spokoju. — Zaraz pani inaczéj wygląda.... Ot, co to znaczy młodość i zdrowie!... Młodego to i siekierą nie zabije, tylko trzeba się nie poddawać smutkowi.

— Nie trzeba, rybko, nie trzeba! — ciągnęła daléj, głaszcząc ją i pieszcząc, jak matka. — Ja wiem, to bardzo boli taka plotka i niesprawiedliwość.... Prawdziwie, trzeba nie miéć serca, aby zasmucać takie piękne dziecko.... No, ale to minie: prawda jak oliwa, wyjdzie na wierzch, a jakże, wyjdzie koniecznie!... Rodzice się przestaną gniewać, a ta marmuzela, co z mojego domu zrobiła publikę, będzie się musiała wstydzić przed całym światem.

Przyjemne były Stefci te słowa serdeczne poczciwéj kobieciny i to współczucie, które jéj okazywano w niedoli. Aby wdzięczność swą okazać zabrała się do roboty, chociaż tego wcale od niéj nie wymagano, ze względu na jéj znękanie. Mówiła, że chce wszystko załatwić przed niedzielą. Jutro za to pozwoli sobie dłuższego spoczynku, a wieczorem pójdzie z Zosią do teatru — może to ją rozerwie.

Ukończywszy robotę, zabawiła jeszcze kilka godzin w towarzystwie swych przyjaciółek, uradowanych jéj spokojem. Około północy pożegnała je z wielką serdecznością, oświadczając, że się czuje znużoną i że prawdopodobnie nie zejdzie przed obiadem.

Nie udała się jednakże na spoczynek. Wróciwszy do swéj izdebki, zapaliła lampę, usiadła przy stoliku, oparła głowę na dłoni i zaczęła marzyć. Myślała o swych tęczowych snach, które prysnęły, jak bańka mydlana, o tém szczęściu, które ją ominęło i serce jéj wzbierało żałością. Przypominała sobie bezowocne swe wysiłki, zawody jakich doznała, upokorzenia, jakie ją spotkały, niecną potwarz, któréj padła ofiarą, wreszcie nielitościwą srogość ojca, który nie wahał się rzucić na nią kamieniem potępienia. Łzy rzęsiste toczyły się jéj po licu; mózg kipiał, serce krwawiło się rozpaczą.

Tak przesiedziała kilka godzin, jątrząc swe serdeczne rany i znajdując zadowolenie w téj kaźni. Wreszcie wyjęła kilka ćwiartek listowego papieru i zaczęła pisać. Chciała pożegnać rodziców i pana Maryana — chciała zrzucić z siebie brzemię niezasłużonéj hańby, którą na nią wtłoczono, a z którą żyć byłoby dla niéj wieczną męką. Nie sposób, by jéj nie uwierzono, gdy śmiercią przypieczętuje swe wyznanie.

„W chwili, gdy list ten znajdzie się w pańskim ręku — tak pisała, ocierając oczy z łez, któremi co chwila spływały jéj rzęsy — nie będzie mnie już na tym świecie. Mogę więc z panem pomówić otwarcie, nie skrępowana żadnym ziemskim względem. Powiedzieć tego za życia nie miałabym odwagi — dziś mnie to pali w sercu: nie mogłabym

umrzéć spokojnie, nie wyznawszy panu, że cię kochałam i kocham, że mi ostatnie chwile życia osładza myśl o tobie.

„Umieram w tém przekonaniu, że gdy wszyscy uwierzyli krzywdzącéj mnie potwarzy—że gdy właśni mnie potępili rodzice, ty jeden o mnie nie zwątpiłeś, drogi przyjacielu. Więc téż nie potrzebuję cię zapewniać o swéj niewinności: nie dla ciebie, dopiero śmierć moja, będzie jéj świadectwem. To dla innych— dla tych, którzy mogli powątpiewać. Niech wiedzą, że mi śmierć była milszą, niż zhańbione życie.

„Dla ciebie inne mam słowa z za grobu, drogi przyjacielu; bo wobec ciebie winną jestem. Widziałam twe dla mnie serdeczne uczucie, kochałam cię, a jednak, wybacz! nie wahałam się miłości twéj poświęcić mojéj dumie. Nie myśl jednakże, by uczucie, które dla ciebie chowałam, było mniéj czystém i mniéj silném. Zbudziło się ono późniéj dopiero w całéj swéj mocy, i dziś ci to wyznać mogę, stojąc nad grobem, że po za niem nie było dla mnie szczęścia na ziemi.

„Czy wiesz, panie Maryanie, co mnie podtrzymywało w téj walce o byt, z któréj dziś wychodzę pokonana, zhańbiona i niesłusznie potępiona, jedyną furtką, która mi pozostała jeszcze? Oto myśl, że zdobywszy sobie zaszczytne stanowisko, będę ci mogła oddać rękę, wolna od owéj obawy, o któréj ci niegdyś mówiłam w Jarzymówce. Dla téj myśli

znosiłam mężnie wszystkie umartwienia i z[illegible]dy. Ona mi była skrzydłami i tarczą zarazem.

„Ale, nie było szczęścia, nie było doli; i może to lepiéj dla ciebie, drogi przyjacielu. Kto wie, czybyś był ze mną szczęśliwy, czybyś nie cierpiał nieraz z powodu méj nieugiętéj dumy i uporu? Bo, patrz: w chwili gdy wszystko tracę, w chwili gdy mi się serce krwawi na myśl o uronioném szczęściu, o zmarnowanéj młodości, szepce mi jeszcze duma, żem zrobiła to, com zrobić była powinna, i że robiąc inaczéj, nie byłabym godną twéj miłości.

„Żegnaj mi, drogi przyjacielu, żegnaj na zawsze; a może tam jest świat jakiś lepszy, gdzie się schodzą znowu ze sobą te dusze które los rozdzielił. O! gdybyś widział teraz serce moje, jak tęskni do ciebie, jak płacze, znajdując jedyną pociechę w téj spowiedzi przedśmiertnéj, którą ci przesyłam! Żegnaj mi, drogi przyjacielu, żegnaj raz jeszcze, i pamiętaj, że ostatnia myśl i ostatnie słowo twéj nieszczęśliwéj przyjaciółki było dla ciebie."

W środek tego listu włożyła Stefcia drugi, krótszy do rodziców. Czuła żal do nich, iż ją odstąpili w nieszczęściu, ale żalu tego nie objawiła słowami. Znalazła nawet w sercu kilka słów cieplejszych dla rodziny, żegnając braci i siostry, każdego z osobna, i życząc im tego szczęścia, którego nie zaznała na ziemi. Kończąc, oświadczyła, że pada ofiarą niesłu-

sznych posądzeń, i przebaczała tym, którzy mogli dać wiarę rzuconéj na nią potwarzy.

Dzwoniono już na roraty, gdy skończyła to pisanie. Rozebrała się więc skwapliwie i położyła w łóżko, aby nie zbudzić podejrzenia służącéj, która zwykła była przychodzić i palić w piecu o téj porze, tym jednakże razem z powodu święta opóźniła swoje przyjście.

Stefcię niecierpliwiło to opóźnienie. Zrzuciwszy z serca brzemię, które jéj ciężyło, nie miała już nic, coby ją powstrzymywało jeszcze. Pragnęła skończyć jak najprędzéj z tém życiem, które jéj zatruto.

Wreszcie nadeszła służąca. Stefcia wręczyła jéj list z poleceniem, by go oddała gospodyni; — niechaj naklei markę i wrzuci do skrzynki, idąc do kościoła. Potém, odprawiwszy marudzącą, pod pozorem, że ją głowa boli i nie chce, by jéj przeszkadzano, zamknęła drzwi na klucz i jęła się pospiesznie ubierać. Byłaż to kobieca kokieterya, byłaż to dziewicza wstydliwość: dość na tém, że nawet i po śmierci nie chciała być widzianą w zaniedbaném ubraniu...

Tymczasem ogień pod blachą płonął wesoło, ogrzewając powoli izdebkę. Stefcia zdjęła fajerkę i dorzuciła kilka kawałków węgla do ogniska.

— Jeszcze czas—szepnęła, sprobowawszy szyber zasunąć.—Trzeba poczekać, aż się wypali... Ludzie by mi umrzéć nie pozwolili... Poczuwszy dym, przybiegli by mnie ratować.

Posłała łóżko, uprzątnęła pokoik, potém, zajrzawszy raz jeszcze pod blachę, zasunęła szyber i ułożyła się na pościeli.

— Bóg mi przebaczy!—westchnęła. — On miłosierny!... On wie najlepiéj, jak ciężkiem było mi życie i że spotwarzona nie mogłam postąpić inaczéj.

Myśl jéj zwróciła się ku panu Maryanowi. Biedny, biedny! Będzie żałował, będzie rozpaczał, ale znajdzie pociechę w jéj liście, który go o jéj miłości upewniał. Zresztą, uleczy boleść jego czas i rozdział nie przebyty. Może zapomni? O, nie, nie zapomni nigdy! Wspomnienie jéj będzie żyć razem z nim i rozwieje się dopiero z ostatniem jego westchnieniem. A jednak chciałaby, aby nie cierpiał, aby mógł znaléźć szczęście, którego mu dać nie mogła. Może śmierć jéj będzie właśnie okupieniem tego szczęścia; może się los da przebłagać i zadowolni jedną ofiarą.

Zabójczy wyziew napełniał powoli izdebkę, odkradając oddech piersiom nieszczęsnéj dziewczyny. Krew jéj uderzała do głowy nawałem, rozsadzając skroń tętniącą i uciskając ciemię nieznośnym bolem. Mdłość i senność opanowywały ją coraz bardziéj, wątląc j j siły. Szumiało i dźwięczało jéj w uszach, niby szum wielkiego wiatru, niby głos dalekich dzwonów. Chciała podnieść głowę, aby ulżyć nieznośnemu bolowi, ale nie miała już siły. Po chwili odbiegła ją świadomość; oczy jéj zaszły gęstą mgłą. Zasnęła.

XV.

Pan Maryan wrócił z Warszawy smutny i znękany, a bardziéj jeszcze rozkochany, niż zawsze. Przed oczyma stała mu ciągle uboga izdebka introligatorek na Aleksandryi, to ciemne i smutne gniazdeczko, z którego wszystkich kątów wyzierały troska i niedostatek.

Stefcia nie złudziła go udaną wesołością i pewnością siebie. Zakochany szlachcic przeczuł, że pod tą maską ukrywa się serdeczny niepokój; kto wié, może głęboki smutek, może znękanie, ale nie przypuszczał wcale, iż w téj chwili powodem tego niepokoju było nietyle może doznane niepowodzenie, ile wzruszenie z powodu jego przybycia, ile falowanie serdecznych uczuć, które się w piersiach introligatorki budziły, a których on właśnie był przedmiotem.

Serce mu się krwawiło na wspomnienie ciężkiego a niewdzięcznego trudu, jakiemu się poddawała

jego przyjaciółka. Myśl, iż wolała pracować w nędzy i trosce, aniżeli dzielić jego losy, napełniała go bezmierną goryczą.

Co prawda, mógł słusznie tak sądzić z pozorów. Czyż nie odmówiła mu przyjęcia pożyczki, którą jéj ofiarował z tak serdeczną życzliwością, w formie tak delikatnéj? Czyż go nie pozbawiła możności odwiedzenia siebie w Warszawie, oświadczywszy, iż mu pocztą mapę odeśle? Czuł w głębi duszy żal do swéj przyjaciółki, bolejąc nad jéj domniemaną srogością, a jednak, mimo wszystko, serce jego płonęło dla niéj goręt szém jeszcze uczuciem. Widok jéj niezłomnego hartu budził w nim podziw i uwielbienie.

Szalał tedy biedaczysko, dręczony tęsknotą, nie widząc przed sobą nadziei, a napróżno starając się zapomnieć.

— Stracona dla mnie, stracona! — powtarzał ze smutkiem, usiłując pracą zagłuszyć ból serdeczny.

Korzystając z oddalenia Stefci, starali się go do Wandzi przyciągnąć Grzybowscy. Zrażony jednak narzucaniem się panny, unikał domu tego wytrwale. Zamknął się w Worochtowie, pracował i tęsknił, odwiedzając tylko od czasu do czasu Jarzymówkę. Tam mu było jeszcze najlepiéj, tam bowiem z każdego kąta przemawiało do niego wspomnienie ukochanéj.

Ciągnęła go tam przytém nadzieja, że coś o niéj zasłyszy. Ale listy przychodziły rzadko i krótkie,

jakby przepisywane z jakiegoś pensyonarskiego zadania. „Zdrowa jestem, dobrze mi się powodzi, nic nie mam nowego do powiedzenia o sobie.” Oto było mniéj więcéj wszystko, o czém rodzicom donosiła Stefcia.

Wiadomości te nie zaspakajały pana Maryana. Dręczyły go smutne przeczucia; zdawało mu się, że Stefcia ukrywa przed rodzicami boleśne jakieś zawody. To, co widział w Warszawie, nie pozwalało mu dobréj żywić otuchy. Zrywał się więc, chciał biedz do swéj przyjaciółki, ale po bliższéj rozwadze porzucał zamiar powzięty. I po cóż tam pojedzie, skoro wié, że Stefcia nie przyjmie jego usługi? Kto wié: możeby mu nawet za złe wzięła jego natręctwo?

Tak upływały dni, tygodnie i miesiące; wreszcie nadszedł grudzień i pan Maryan, unikający dotychczas pilnie wszelkiego zetknięcia się z rodziną Grzybowskich, znalazł się w konieczności odwiedzenia ich domu. Były to imieniny gospodarza, dzień obchodzony zazwyczaj nader uroczyście; nie sposób więc było zapomnieć o nich bez wyrządzenia sąsiadom obrazy.

Grzybowscy wrócili byli właśnie z Warszawy i puszczona przez nich plotka krążyła już w najlepsze po okolicy. Nie omieszkano donieść panu Maryanowi o najnowszym skandaliku „apostołki”. Oburzony stanął w obronie swéj przyjaciółki, zowiąc oszczercą

każdego, kto śmie wątpić o jéj niewinności. Widząc jego zapał, nie śmiano mu się przeciwić; ale to, co mówił, przyjęto dość chłodno i z uśmiechem niedowierzania.

Pełen gniewu i wstrętu opuścił cichaczem zebranie. Nazajutrz pojechał do Jarzymówki, by się o losie Stefci dowiedzieć. Państwo Jarzymowscy byli milczący i jak gdyby przygnębieni. Kołował, zachodził z różnych stron, ale nie mógł ich skłonić do zwierzeń, a nie śmiał wprost zapytać. Znękany, wrócił do domu z powziętym zamiarem udania się do Warszawy.

W domu zastał list Zosi, donoszący mu o haniebnéj potwarzy, jaką na Stefcię rzucono, i o bezmiernéj rozpaczy, w jakiéj list ojca pogrążył biedną dziewczynę. Facetka wzywała go, by jaknajśpieszniéj przybywał. Mówiła, że sobie rady dać nie może ze znękaną, że się obawia nieszczęścia i ufność jedynie w jego wpływie pokłada.

Nie zwlekając chwili, popędził pan Maryan do Warszawy. Przybył rannym pociągiem, stanął w hotelu, który mu wskazała Zosia i, odszukawszy mieszkanie zarządczyni, zapytał o Stefcię.

Powiedziano mu, że się uspokoiła, przebolawszy cios srogi, który spadł na nią tak niezasłużenie, że jednak, czując się znużoną, zapragnęła dłuższego spoczynku i zejdzie dopiéro na obiad.

— Biedaczka — mówiła ze współczuciem gada-

tliwa zarządczyni — musiała czuwać do późna wczoraj... Wyszła ztąd dopiéro przed północą, a przed chwilą oddała mi służąca list z prośbą, bym go wrzuciła do skrzynki, jak pójdę do kościoła... Niezawodnie pisała go w nocy; nagadam ja jéj za to; ale teraz niech jeszcze śpi niebożątko... Gdzież jest ten list?... gdzieżem go położyła?... A, tutaj, na komodzie.

— Do rodziców? — zapytał pan Maryan.

— Nie... Do kogoś innego, zapomniałam... Wielmożny pan... Maryan... Kozicki — dodała, przypatrując się adresowi.

— To do mnie! — zawołał zdziwiony, wyciągając rękę skwapliwie.

— Tak? no proszę, proszę... A no, to i lepiéj... Prędzéj dojdzie, niż pocztą.

Pan Maryan rozerwał kopertę drżącą ręką i jął czytać.

— Boże, Boże! — krzyknął struchlały. — Gdzie ona?... Chodźmy, biegnijmy!... Może jeszcze czas.

— Cóż się stało? — spytała przerażona gospodyni.

— Zabija się! — jęknął szlachcic.

Pobiegli co tchu przez pralnię ku drzwiom izdebki, gdzie mieszkała Stefcia. Gospodyni zapukała zlekka; nikt nie odpowiedział.

— Pani!... pani!... Goście przyjechali do pani! — wołała drżącym głosem.

Milczenie.

Probowała drzwi otworzyć—zamknięte.

— Klucza! klucza! — krzyknęła, dygocąc z przestrachu. — Czuć swąd wyraźnie... Musiała szyber zasunąć... zagorzała!

Wszyscy pobiegli szukać klucza, tracąc głowy w zamięszaniu. Blady i drżący postąpił z zaciśniętemi zębami pan Maryan ku drzwiom, silnie się oparł nogami, pchnął raz i drugi potężnemi barkami i wyważył oddrzwia z zawiasów.

Blada i nieruchoma leżała Stefcia na pościeli, podobna do kwiatu, podciętego kosą i porzuconego na łące. Nieprzyschnięta jeszcze łza świeciła na jéj rzęsach, na wpół otwarte usta zdawały się uśmiechać. Olbrzymi szlachcic porwał ją w ramiona i zaniósł do mieszkania zarządczyni. Piękna jéj główka zwisała bezwładnie, skroń jéj dotykała jego twarzy.

— Rozebrać! rozebrać prędzéj! — wołał, złożywszy ją na pościeli. — Niech ktoś z hotelowych pobiegnie po doktora!

Gospodyni, jéj córka i Zosia, która właśnie nadeszła, jęły z pośpiechem zdejmować ze Stefci ubranie. Kucharka pobiegła zawołać służbę hotelową do pomocy. Pan Maryan zarządzał ratunkiem.

— Jeszcze ciepła! — szepnęła, łkając Zosia.

Przyniesiono zimnéj wody i poczęto zlewać nią ciało zemdlonéj, nacierając je szczotkami i flanelą.

Przewracano uśpioną z grzbietu na bok i napowrót, podnoszono ją i opuszczano znowu, celem przywrócenia oddechu, ale nadaremnie! Nie pomagało szczotkowanie podeszew, ani też trzeźwienie amoniakiem; Stefcia leżała martwa, a doktor nie przychodził.

Z załamanemi rękami wpatrywał się pan Maryan w twarz uśpionéj, napróżno wyczekując oznak powracającego życia. Bezwładna pod dłonią ratujących ją kobiet, leżała w nieświadomości tego, co ją otacza, nie broniąc powabów swych przed obcem spojrzeniem. Ale pan Maryan nie widział tych rozkosznych wdzięków, odsłoniętych w śmierci bezwstydzie, pełen obawy i oczekiwania, całą duszą w to jedno tylko wmyślony, czy życie powróci i czemu nie wraca.

— Co robić? co robić!—wołał co chwila zrozpaczony.

Przyszło mu na myśl wdmuchywać powietrze zemdlonéj. Przyłożył usta do jéj ust i począł piersi jéj zasilać własnym oddechem. Byłby chętnie oddał jéj życie. Pracował tak jakiś czas napróżno, wreszcie uczuł, jak gdyby drgnięcie jéj wargi pod ust swych dotknięciem. Spojrzał jéj w twarz; zdawało mu się, jak gdyby drżała na wpół otwarta jéj powieka. Chwycił ją w ramiona, podniósł w górę, sięgnął po amoniak i probował cucić tym zapachem.

Stefcia kaszlnęła.

— Żyje! żyje! — zawołał uradowany. — Trzeba tylko daléj tak samo prowadzić ratunek.... Oblewać wodą, nacierać flanelą, szczotkować podeszwy.... i czarnéj kawy! mocnéj, czarnéj kawy!

Podnoszono ją znowu w górę i opuszczano na powrót, przewracano z grzbietu na bok i odwrotnie; ściskano klatkę piersiową miarowo i ostrożnie, wreszcie trzeźwiono amoniakiem. Stefcia zaczęła oddychać; otworzyła oczy, spostrzegła pana Maryana, i jakby uśmiech przeleciał po jéj twarzy. Potém znowu zamknęła powieki, i zasnęła, jęcząc.

Przybyły lekarz zatwierdził wszystko to, co zarządził pan Maryan, zapisał jakieś lekarstwo i, zbadawszy stan choréj, zaręczył za jéj wyzdrowienie. Należało tylko głowę okładać zimną wodą i podawać choréj czarną kawę, dopóki senność nie ustąpi, stosując lekarstwo wedle przepisu.

Uspokojony tém zapewnieniem, usunął się pan Maryan, aby Stefci oszczędzić przykrego zakłopotania w chwili, gdy się ocuci z zemdlenia. Nie znał jeszcze treści jéj listu, a mógł najzupełniéj polegać na troskliwości Zosi i poczciwéj gospodyni.

Udawszy się do swego mieszkania, rzucił się na pościel znużony. Potężne wzruszenia wstrząsnęły silną jego naturą. Czuł w mózgu dotkliwy ból; przed oczyma stała mu Stefcia blada i martwa, oporna jego woli, niepowracająca do życia, jak tego pragnął tak gorąco. Przypomniał sobie, że ją miał w obję-

ciach, raz tylko jedyny w życiu, gdy ją śmierci wydzierał, i serce jego napełniło się żałością.

Przyszedł mu na myśl jéj list. Wydobył go z kieszeni i zaczął czytać, ocierając łzy rzęsiste, które spływały po twarzy. Niebawem jednak doszedł do tych wyznań serdecznych, w których jego ukochana, sądząc, że już z za grobu do niego przemawia, całą mu swą otwierała duszę. Przecierał oczy, nie wierząc; serce mu biło, jak gdyby młotem, wezbrane niewysłowioną błogością. Myślał, że mu piersi rozsadzi radość, któréj się nigdy nie spodziewał.

Czas jakiś nie mógł się oswoić ze swém szczęściem. Chodził szerokiemi krokami po pokoju, śmiał się, płakał i wzdychał naprzemian. Po pewnym czasie jednak pokonał wzruszenie. Kazał sobie przynieść papieru, piór i atramentu, usiadł przy stoliku i zaczął pisać. Wzywał państwa Jarzymowskich, by jak najśpieszniéj przybywali po córkę do Warszawy. Donosił im o wszystkiém, co zaszło, o tém, że ją kocha, że jest nawzajem kochany, prosił ich o rękę Stefci i zapewniał, że jedyném jego dążeniem będzie zawsze szczęście ich dziecięcia...

Właśnie kończył ten list, gdy go wezwano do Stefci. Biedna, przyszedłszy cokolwiek do siebie, zapragnęła go widzieć koniecznie. Młodzi ludzie porozumieli się z sobą niebawem. Serca ich należały już od dawna do siebie, a zdarzenia dni ostatnich usunęły ostatnie zapory, które porozumieniu

temu stały na przeszkodzie. Po tylu bolesnych doświadczeniach przyszła Stefcia do przekonania, iż głównym powodem wszystkich jéj nieszczęść było to, iż zaślepiona dumą i uporem gwałt zadała własnemu uczuciu.

Po kilku dniach powróciła chora do sił i państwo Jarzymowscy zabrali ją z sobą do Jarzymówki, a w miesiąc po tych zdarzeniach, poprowadził pan Maryan Stefcię do ołtarza.

KONIEC.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Kielce

ALEKSANDER MAJEWSKI
w
KAMIENIU MŚCIOWSKIEM
p. Sandomierz

300

730/171860416

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
182664

Biblioteka WSP Kielce
0112675